

BLUSZCZ

Społeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 5 LUTEGO 1927 ROKU

NR 6

TREŚĆ NUMERU: Dzieci, o których się nie myśli — *St. Kwiatkowska Rosenblum*. Z powodu chleba powszedniego — *A. N.* Zróżniczkowanie się typu kobiecego po wojnie — *C. Walewska*. Kobiety w związkach zawodowych — *M. B.-Ł.* Bieg tysiiącmetrowy panny de Plemeur — *Henry de Montherlaut* (tłum. Teresa Tatarkiewiczowa). Wiersze: „Nieszczęście“, „Kara“, „Rzeczywistość“ — *Hanna Morłowiczówna*. Jak słońce spija rosę (opowieść) (c. d.) — *Helena Ceyssingerówna*. Zuzanna ze Strzembosów Ożarowska — *Zofja Łosiowa*. Z życia i działalności kobiet w stolicy — *Andrea*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* O wnętrzach mieszkaniowych — *Zygmunt Knothé*. W sprawie drożyzny — *C. r.* Praca sportowa w halach gimnastycznych i w domu (c. d.) — *K. M.* Bądźcie piękne i zdrowe — *Regina Zienkiewiczowa*. Luty w gospodarstwie domowym — *Pani Elżbieta*. Kącik gospodarski. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Mody i roboty“: Co przyniesie wiosna, Sweater łatwy do wykonania — *S.* Modne woreczki. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie“ — *C. Chivas-Bazan* (tłum. Dr. M. Kastarska). Arkusz wzorów.

DZIECI, O KTORYCH SIĘ NIE MYŚLI

Mało naogół wiemy o niedoli dziecka występnego. Od lat przyglądam się z bardzo bliska tym małym biedakom. Nie wierzę w złe dzieci! Twierdzę, że są charaktery łatwiej, lub trudniej dające się kierować, tak w sensie krzewienia dobrego, jak i złego, a ileż tragedij widzę nieraz!

Ot np. przychodzę do domu poprawczo-wychowawczego do którego wstęp prowadzi przez zakratowaną bramę więzienną, idę na „Oddział dla Nieletnich“: czysto, jasno, dużo powietrza, promienie słońca wpadają przez zakratowane okna, oświetlając młode, a już tak smutne głowy chłopców. Zbliża się do mnie malec, lat 11 mający, a tak mały, że nie dałoby mu się więcej nad 9, szepcze coś, zawstydzony; zapytuje „czego chcesz, maleńki“? dowiaduję się, że dziecko to odsiedziało już swą karę za kradzież i za chwilę zostanie wypuszczone na wolność, prosi ono, by mogło jeszcze pozostać do obiadu, by nie wyjść głodnym, ma bowiem tylko na świecie staruszkę babunię, nie mogącą pracować, nie wie więc, kiedy i od kogo znowu jeść dostanie.

Pierwsza myśl moja: „umieścić malca w jakim zakładzie opiekuńczym, nie dać mu zginąć, boć głód i nędza złemi są doradcami“. Zaczynam poszukiwania od zakładu do zakładu: „Dzieci, karane wyrokiem sądu, do nas nie należą; do zakładów wychowawczo-poprawczych przyjmujemy tylko z wyroku sądu, a on już odbył swój wyrok“. I idzie maleńki do ubogiej swej babki, a chcąc siebie i ją wyżywić, idzie kraść, — pracować nie umie jeszcze.

Z ciężkiem sercem idę do dziewcząt. Tu znowu więzienie, kraty, zgrzytające w zamkach klucze. Nim dojdzie się do „Oddziału dla Nieletnich“, ileż to zamków należy otworzyć! Wchodzę: ślicznie tu, jasno, białe, ale czemuż, o Boże! wszystko to w więzieniu! czemu nie w schludnym domu, w ogrodzie! Nauczycielki pogodne, rozumiejące duszę swoich pupilek, dziewczęta zajęte pracą: jedne robią na maszynie pończochy, inne szyją, te znowu mają lekcję kroju, bo każda, mająca „wyrok“ nie mniej niż na dwa miesiące, przechodzi pełny kurs kroju, prania, szycia i robót ozdobnych, jak np. haft, mereżki, gipiury itp. Jest między temi dziewczętami jedna mała „za kradzież“. Przyszło to tak zbiedzone i po takich rozkoszach domowego ogniska (ma trzecią macochę), że jak usłyszała śpiew, wpadła w głębokie omdlenie, nie umiała ani czytać, ani pisać, a na każdego zbliżającego się do niej człowieka patrzyła, jak na krzywdziciela, stając w postawie obronnej. Dziś, po odbytej karze, jest to mały człowiek: urosła zmężniała, czyta, pisze, rachuje, zna wiele robót i wprost jest artystką w wykonywaniu robót gipiurowych. Poczula teraz godność osobistą, wie, że coś umie. Za trzy tygodnie ma opuścić Oddział; na samą myśl o tem zalewa się rzewnymi łzami i błaga, by jej do domu nie odsyłać boć ojciec jej wcale o to nie dba, by ją znowu mieć w domu. Zaczynam ponownie poszukiwanie zakładu, gdziebym ją umieścić mogła. Niestety, zawsze tażsama odpowiedź! w dodatku, jak Polska szeroka i długa, niema ani jednego zakładu wychowawczo-popraw-

czego dla dziewcząt, z wyroku sądowego umieszczanych; był jeden w Puszczy Marjańskiej, ale zamknięto go. Co począć z tą małą! Może dobrzy ludzie znajdują się, co ją zaryzykują wziąć, boć: „z więzienia jest”. Dużo jest takich dzieci, mogłabym o ich niedoli pisać tomy. Trzeba jakoś temu radzić, trzeba je ratować, zakładać domy wychowawczo-poprawcze, domy pracy, któreby nie pozostawiały piętna więzienia. Nigdzie, w żadnym kraju dzieci nie trzyma się w więzieniu! We Włoszech miałam tego lata sposobność zwiedzić t. zw. „riformatoria”, t. j. domy poprawczo-wychowawcze, jest ich bez liku. Dzieci przebywają w nich do czasu, gdy już mogą same na siebie zapracować, dzięki osiągniętej umiejętności fachowej. Nie zapomnę nigdy odpowiedzi dyrektora „Riformatoria” w Tivoli pod Rzymem. Na zapytanie moje „jakie kary stosuje, gdy chłopiec na to zasłuży”, odrzekł: „życie tak bardzo je karało, zanim tu przyszli, że dobrocią znacznie więcej osiągnąć możemy”; zresztą największą karą jest pozbawienie prawa obecności na przedstawieniu kinematograficznem, odbywającym się co miesiąc. Niebywałą rozkoszą jest dla dzieci widok obrazów z szerego świata. Niestety, w smutnej sławy Studzieniu

inaczej myśłano! Palącą koniecznością jest też założenie t. zw. izb zatrzymania t. j. aresztów dla dzieci, wyłamujących się z pod praw administracyjnych. Np. dziecko sprzedawało pomarańcze, nie miało na to wykupionego świadectwa handlowego, złapano je, zawiniło, sędzia musi zastosować wymiar kary stosownej. skazuje malca na cztery dni aresztu i gdzież dziecko idzie? — Idzie do więzienia na Oddział dla Nieletnich, wnosząc tam zamęt i zdobywając wrażenia przebytego więzienia. Nie powinno tak być! Izby zatrzymania dawno już zostały zatwierdzone, czemuż ich nie mamy?! Musimy o nie kołatać, dopominać się! Społeczeństwo nasze musi poważnie zastanowić się nad kwestją wychowania nieletnich przestępców: jest to nie tylko obowiązek sumienia, ale samoobrona. Po zostawieniu sami sobie, w warunkach, sprzyjających występki, wpadają w coraz gorsze obyczaje, stając się zakałą i niebezpieczeństwem.

Kozumiejąc doniosłość sprawy, nie pogardzajmy temi dziećmi, zajmijmy się niemi, pomóżmy im stać się jednostkami pożytecznemi, a domy nasze nie będą tak często napadane i okradane przez ludzi, których można było uratować.

St. Kwiatkowska-Rosenblum.



Z POWODU CHLEBA POWSZEDNIEGO

Zaniedbana przez spożywców, zmaltretowana przez wytwórców, przeoczana przez gospodynie jest u nas sprawa chleba. Wiadomość „Znowu chleb drożeje” przyjmowana jest przez społeczeństwo z coraz to większą obojętnością, niby klęska nieuchronna, do której wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić, jak do złego losu. Wyczerpano na ten temat wszelkie oskarżenia: miasto zarzuca wsi, że tuczy się nędzą jego, rolnicy obwiniają młynarzy, młynarze piekarzy, ci zaś twierdzą, że nigdzie niema tak wysmienitego i taniego chleba, jak w Polsce...

Zaprawdę błogosławiony bądź, chlebie ojczysty!... Bądź po trzykroć błogosławiony! Ale bądź przytem nie tak drogi, trzymaj się przepisanej wagi i nie obdarzaj nas dodatkami, niezbyt smaczными i pożywnymi, w rodzaju sznurków, gwoździ i innych trudnych do wyliczenia tu specjałów.

Temu bowiem niepodobna zaprzeczyć: chleb w Polsce jest drogi — nie tylko w stosunku do możliwości finansowych spożywcy, ale beżwzględnie — w stosunku do pierwotnego surowca, z którego jest

wyrabiany. Ponadto, wypiek naszego chleba odbywa się niedbale i przeważnie wbrew elementarnym przepisom czystości i higieny.

Panowie młynarze i piekarze! nie rzucajcie nam, spożywcom, piasku w oczy, — dość znajdujemy go w chlebie. Macie słuszność, twierdząc, że zboże nasze wciąż drożeje. Lecz nie dosięga ono cen zagranicznych. Co zaś w danej kwestji jest rzeczą najważniejszą, rozpięcie między ceną zboża, a chleba, jest u nas niepospolicie wielkie. To znaczy, rolnik nie korzysta w odpowiednim stosunku na podwyższonej cenie chleba. Może więc piekarz pobierać rosnące zyski. Ale w Warszawie cena chleba w hurcie, na mocy ustalonego porozumienia, musi odpowiadać cenie mąki. Według kalkulacji, uzgodnionej przy tem porozumieniu, przypiek pokrywa wszystkie, poza mąką, koszty piekarza i zawiera pewien umiarkowany zysk czysty (po potrąceniu podatków i innych ubocznych ciężarów przedsiębiorstwa). Młynarze znów dowodzą, że wprawdzie producent sprzedaje swoje zboże po cenie x, ale młyn nabywa je po cenie xy, skutkiem czego mąka

zgóry obciążona jest nadmiernym kosztem surowca. I tu dochodzimy do jądra jednego z poruszonych przez nas zagadnień: koszty pośrednictwa odbijają się fatalnie na cenie ostatecznego produktu. Zanim zboże przejdzie ze śpichrza rolnika do rąk spożywcy chleba, odbywa ono drogę przez długi łańcuch pośredników, z których każdy dokłada swój „zarobek“ do ceny naszego bochenka.

Dla walki przeto z wyśrubowaną ceną chleba, trzeba zorganizować handel surowców: zboża i mąki. Kresząc to zadanie w najgrubszych zarysach, powiemy poprostu: trzeba usunąć pośrednictwo i mieć zapewniony pewien zapas zboża na okres, w którym niesumienne młynarstwo, lub piekarstwo zapragnęłoby przez znowę sztucznie podnieść cenę swych produktów.

Tego rodzaju operacje gospodarcze należą do samorządów miejskich, a przodować powinnyby im stolica. To też Warszawa otrzymała po żniwach od rządu znaczną sumę, w postaci kredytu, przeznaczoną na zakup zboża w okresie najdogodniejszym i utworzenie zapasu na czarną godzinę. Nie wiadomo, niedołęstwo, czy poważniejsze przyczyny, stanęły na przeszkodzie w skutecznieniu tego planu.

To jest jednak, jak powiedzieliśmy, jedna strona obchodzącej nas sprawy. Drugą, zresztą ściśle z nią związaną, jest sposób przygotowywania i wypiekania chleba.

We wszystkich wielkich miastach zagranicznych prócz drobnych piekarni, zadawałających specjalne gusta, lub wybredne wymagania, istnieją duże przedsiębiorstwa piekarskie, pracujące przy pomocy siły mechanicznej i urządzeń automatycznych. Wytwarzanie masowe i zastąpienie pracy ludzkiej automatem zawsze obniża koszty produkcji przez oszczędność czasu i robocizny.

W piekarstwie pozwala ono nadto na zastosowanie najdalej idącej czystości. We wzorowych zakładach urządzone są kabiny kąpielowe i piekarze przystępują codziennie do pracy po wykąpaniu się i przebraniu w specjalną odzież. Zakwaski i rozczyny przygotowuje się maszynowo w olbrzymich nieckach, w których rękę ludzką zastępują wałki, osadzone na dźwigach mechanicznych. Tak samo automatycznie odbywa się odważanie ciasta na bochenki, co wyklucza możliwość omyłek, lub oszustwa. Natomiast wyrabianie bochenków dokonywane jest, nawet przy tym systemie, przez piekarzy, jakkolwiek istnieją maszyny, i do tej czynności przystosowane. Za to męcząca

praca ręcznego wsuwania chleba do pieca odpada najzupełniej.

W największej w Europie piekarni w Wiedniu, pierwotną łopatę, na której wiejska gospodyni „wkłada“ pojedyncze bochenki do pieca, zastępuje ruchoma platforma, mieszcząca jeden przy drugim 180 bochenków naraz. Jeden skoordynowany ruch dwóch robotników wystarcza, by wsunąć platformę do pieca, w którym bochenki ześlizgują się automatycznie i po chwili platforma powraca na zewnątrz pieca. Upieczony chleb odstawiany jest na wagonikach do ekspedycji. Tam przeładowuje go się na wozy, które dostarczają go do wszystkich punktów sprzedaży — do filij, sklepów spożywczych i jadłodajni.

Smakosze twierdzą, że chleb z piekarni automatycznych nie dorównywa w smaku pieczywu z małych zakładów. Być może, że tak jest. Trzeba jednak być niezwykłym smakoszem, by chleb ten jadać z apetytem, jeżeli było się świadkiem jego wyrobu. Wiele naszych piekarni mieści się w suterrenach. Tu i owdzie mieszkanie rodziny piekarza i piekarnia znajdują się w tej samej izbie. Nikt nie czuwa nad czystością ciała i odzienia ludzi, pracujących przy wypieku, na czyn i narzędzi, przez nich używanych. Chleb po upieczeniu rozkładany jest dla wystudzenia, gdzie popadnie.

Na ten temat istnieje tyle opowieści i dykteryjek, że wystarczy kilka zdań powyższych, by uprzytomnić sobie, iż najpopularniejszy artykuł spożywczy może być łatwo siedliskiem zarazków chorobowych.

Mimo to, przeciwko piekarniom automatycznym zwraca się, jak zaznaczyliśmy, wiele uprzedzeń i przesądów. Znaczna ich część pochodzi od piekarzy, których nędzne warsztaty zagrożone są w swym bycie wraz z powstaniem fabryk piekarskich, produkujących taniej, sprawniej i czystiej. Pierwsze podjazdy tej walki z postępem i higieną ukazują się obecnie w Warszawie, która ma przystąpić w najbliższym czasie do zorganizowania wielkiej piekarni miejskiej, wyposażonej we współczesne urządzenia. Czy piekarnia ta, wobec przysłowiowej nieudolności przedsiębiorstw magistrackich, odpowie swemu zadaniu — może to podlegać dyskusji. Wrazie niepowodzenia jednak, winien będzie nie system, lecz wykonawca. System zaś, jako odpowiadający wymaganiom kultury i zdrowotności, musi znaleźć poparcie ludzi inteligentnych, którym dobro społeczne i własny, dobrze zrozumiany, interes droższe są od żołądkowych pseudo-tradycji.

A. N.



ZRÓŻNICZKOWANIE SIĘ TYPU KOBIECEGO PO WOJNIE

CO WINNE DZIECI?

Z cyklu: „O kobiecie dzisiejszej — głosy kobiet“.



eży przedemną urywek pamiętnika czternastoletniej dziewczyny, której matka—po gwałtownej sprzeczce z ojcem—rzuciła dom i czworo dzieci.

Komentarze niepotrzebne. Dziennik mówi sam za siebie.

15 grudnia 1926 r. Stała się rzecz straszna. Już mamy niema. Dziś rano odeszła od nas. Pocałowała mnie w czoło, później Marysię i wyszła. Byłam wtedy bardzo jeszcze zaspana i myślałam, że mi się to przysniło. Ale naraz usłyszałam, jak Juruś i Baśka, którzy śpią obok naszego pokoju z babcią, zaczęli wołać: „Gdzie ty idziesz mamusi?.. Weź nas z sobą!“ Ale ona nic nie odpowiedziała, tylko zabrała się i poszła. Była w futrze, w kapeluszu. Miała w ręce torebkę. Kasia poniosła za nią do drzwi walizkę. I tak to się zrobiło.

Babcia powiedziała, że mamusia już nie wróci, ale ja w to nie wierzę. Cóżby robiła bez nas?

Coprawda, parę dni temu słyszałam, jak ojciec krzyczał, a później mama. Ale że to z trzeciego pokoju, bo aż przez jadalny, więc nie bardzo dobrze. Tak, piąte przez dziesiąte. Tatus: „Tyle razy prosiłem cię, żebyś dała pokój tym spacerom we dwoje“ (pewnie z panem Stanisławem, który zewszę po południu przychodził po mamę). Mama coś na to. Ojciec też coś. W końcu mama: „Jak ci się nie podoba, to zabiorę się i pójdę“. Potem już nie krzyczeli, ale chyba całą noc rozmawiali, bo co się obudziłam, to słyszałam głosy.

Już mnie i Marysi mama nie wyprawiła do szkoły, tylko babcia. Ojciec też się wymknął, choć dawniej razem z nami jadał śniadanie. Co to wszystko znaczy? Babcia teraz już nic nie mówi. Tylko Kasia, jak ten kruk, ciągle: „Nasza pani nie wróci“.

Wczoraj przyszła ciocia Jania. Odrabiałam lekcje, ale słyszałam, jak mama do niej w jadalnym przy kawie: „Jesteś wolna. Możesz robić, co chcesz. Jedź ze mną. Uciekam z tego zatraconego piekła jaknajdalej, choćby do Afryki, Australji, na Kamczatkę. Już dłużej nie wytrzymam. Chodzić mi nie wolno, z kim chcę. Szpicle na karku. Dom i dzieci. Piętnaście lat niewoli. Dosyć. Mam trochę pieniędzy. Sprzedam brylanty. Ty też poświęć swoje. Aby starczyło na początek. Potem — damy sobie radę“...

Myślałam, że to tak sobie. Nieraz rozmawiamy z Marysią, że — jak nazbieramy pieniędzy, to poje-

dziemy na dziką wyspę i będziemy pisały pamiętniki jak ta wygnanka z książki pani Krakowowej. Ale to tak sobie, aby gadać. Więc myślałam, że mama z ciocią też tylko, aby gadać. Tymczasem, widać, naprawdę...

Dzień był okropny. Na pensji byłam, jak kołowata. Prosiłam wychowawczynię, żeby mnie obroniła przed pytaniem, bo nic nie umiałam. Przy obiedzie nikt nie mówił. Tylko Jurek, co chwila: „gdzie mamusia“? Zawsze siedział przy mamie i mama go karmiła, a po obiedzie brała na kolana i były pieszczotki. My wszyscy dokoła mamusi. Każde opowiadało swoje. My z Marysią, co na pensji? Baśka, co w ochronie. Tatus czytał kurjera, ale też powiedział czasami coś takiego, że my wszyscy w śmiech! Babcia sobie drzemała na otomanie, ale też pewnie było jej wesoło. Dziś, jak w grobie. Tatus zaraz poszedł do siebie. Babcia powiedziała: „trzeba wziąć bonę do Jurka i Basi, bo ja nie podołam.“ Ja uciekłam i w płacz. Więc naprawdę mamusia nie wróci? Jak ja teraz będę na tej pensji?... Wszystkie sobie opowiadają o swoich matkach, a ja co?

Wieczorem babcia powiedziała mi: „Jesteś najstarsza. Musisz mi pomagać we wszystkim. Widzisz, jak mi trudno!...“

Dobrze, ale moje lekcje?

A głupi Juruś ciągle po kątach szuka i szuka, Baśka za nim. Tatus zamknięty na klucz w swoim pokoju. Jakby wymarłe mieszkanie, a my wszyscy, jak nieboszczyki.

20 grudnia. Na pensji już wiedzą. Niewiadomo, skąd? Nasza prymuska, nawet nie moja przyjaciółka — spytała mnie: „To twoja mamusia uciekła“?... Chciałam ją szturchnąć w bok, wypchnąć za drzwi, krzyknąć: „Tobie co do tego“? Ale mnie zdławiło w gardle, więc uciekłam i całą pauzę przesiedziałam w szatni za futrami. Przełożona pogładziła mnie po głowie i Marysię także, ale nic nie powiedziała. Wszyscy nauczyciele, nauczycielki, wychowawczynie tacy dobrze, wcale nas nie wyrywają.

Wczoraj przyszła bona. Taka sobie — młoda i nawet dosyć przystojna. Ale Jurek patrzeć na nią chce. Odpędza ją kułakami. „Idź sobie!... Ja chcę mamusi!“ Nie pozwala jej siedzieć przy sobie, ani karmić siebie. Biję piąstkami w stół i krzyczy, a Baśka za nim, choć starsza i niby mądrzejsza. Babcia już bez głowy. Nie wie, co robić. Tatusia w domu ani poświęcić. Podobno zamyka się w biurze i siedzi do

wieczora. Powiedział do babci, że nie może patrzeć na nas, bo rozum traci, a przecież musi pracować. Żeby wiedziała, gdzie mamusia, tobym napisała jej to wszystko. Przecież by chyba wróciła. Ale nikt nie wie.

21 grudnia. Juruś dostał wczoraj wieczorem gorączki. Doktor mówi, że nerwowa, żeby go nie rozdrażniać i zostawiać w spokoju. Ale jakżeż... Panny Felicji nie dopuszcza do siebie. Mnie najwięcej znosi i Marysię też. Ale my od jutra dopiero mamy dwa tygodnie wolne. Tatusz przyszedł do niego. Usiadł przy łóżeczku i płakał. A my wszyscy także.

Mówi się: „Juruś będzie miał choinkę. Juruś dostanie białego Misia i kolej, i żołnierzy“. Ale on, że nie chce ani Misia, ani choinki, ani kolei, tylko chce mamusi.

Miał 39 stopni. Jakieś lekarstwo dał mu doktor, i potem zasnął. Przyszła ciocia Jania. Więc nie sprzedawała swoich brylantów i nie pojechała z mamusią. Zamknęły się z babcią w pokoju tatusia i rozmawiały bardzo długo.

Ciocia Jania napewno wie, gdzie mamusia, więc może napisać.

Jurusiowi mówi się, że mama wróci po świętach. Trochę gorączka się zmniejszyła, jak ciocia Jania przy nim usiadła, bo ciocia jest podobna do mamusi. Głos ma prawie taki sam i tak samo się rusza. Także ślicznie opowiada bajeczki, wycina pajaców z papieru i różne figurki. Ale ciocia Jania daje lekcje, więc nie może być długo. Jak wyszła, znowu Juruś rzucał się na łóżeczku i majaczył.

23 grudnia. Już od dziś w południe, wakacje świąteczne, więc babci pomogę. Juruś wczoraj wieczorem miał 38 stopni. Doktor powiedział, żeby lepiej nie urządzać choinki, bo to go przejmie.

Zawsze tak było, że Kasia przebierała się za świętego Mikołaja. Każdy dostawał po kilka prezentów. Potem wszyscyśmy się brali za ręce — mamusia i tatusz z nami — i dalej w kółko dokoła drzewka. Mamusia śpiewała kolendy. My z Marysią też za nią. Juruś dreptał przy mamusi, Baśka przy tatusiu. Zawsze była ciocia Jania i także śpiewała. Babcia siedziała sobie w fotelu i pewnie jej było bardzo przyjemnie. Drzewko paliło się, aż póki tatusz nie pogasił świeczek, żeby zostały jeszcze na oba święta. Później mamusia grała na fortepianie, a myśmy tańczyli, — każdy ze swoim najmilszym prezentem. Juruś i Baśka kręcili się w kółeczko, aż póki sen ich nie zmorzył, że padali w swoich białych sweterkach i białych pończoszkach pod drzewkiem, jak kulki z waty, i trzeba było przenosić ich na łóżeczka, rozbierać. Później mamusia grała, ale już nie do tańca. Ślicznie. Tatusz słuchał w fotelu, babcia i ciocia Jania na kanapie, a my z Marysią na dywanie, aż póki też nie pospałyśmy się, — każda ze swoim prezentem.

Teraz — jakżeżby ta choinka była bez mamusi? Jabym sama nie chciała i Marysia też nie. Tatusz napewnoby nie był. Babcia mówi, że ma sercowe ataki, więc mógłby dostać.

23 grudnia. Nie będzie wcale świąt u nas. Nawet wilji i nawet prezentów. Tylko zwyczajny obiad o czwartej, jak codzień. Przyjdzie ciocia Jania. Ach, żeby ona chciała powiedzieć, gdzie mamusia? Ale jakby na złość — ani słoweczka.

Babcia ciągle płacze. Tak posiwała i tak się zgarbiła, że jak w pałak zgięta. Tatusz też postarzał i nic nie mówi. Co to będzie? Co będzie?

Na marginesie dziennika Hani.

Co będzie, Haniu?... Może matka twoja wróci, wzruszona waszemi listami. Ale prędzejnie. Zerwały się przesła starych gmachów. Trzaskają gonty i belki. Za swe prababki, które nie wychodziły z gyneców, chce dziś twoja matka żyć. Nakaz sumienia?... Imperatyw kategoryczny woli, uczucia, obowiązku?... Racja ofiary i poświęcenia?... Odpowiedzialność przed sobą samą i przed światem?... Puste słowa. Jedyna prawda — wolność.

Pierwsza kłoda na progu domu, który umiała urządzić mile i ładnie, było hasłem: „w świat“!...

Bo już — śpiewając wam piosenki, tuląc do piersi Jurusia, czego innego szukała. A was, choć nie wiedzieliście o tem, brał w siebie ten jej niepokój. Kochałyście ją więcej za niesforny majak jej duszy, aniżeli ona matkę swoją za to, że nie miała czasu wyjść z domu¹⁾, bo przecież były dzieci...

Może wróci do was, zmęczona i rozbita. Babci już nie będzie. Wypłacze stare oczy. Nie poznacie tej, która była w was tęsknotą. Juruś — duży chłopiec — stanie obok niej, jak obcy.

Tylko ty, Haniu, która zajrzałaś w paszczę zburzonej domowej świetlicy i wchłonęłaś wszystkie męki dzieci, porzuconych z własnej woli matki, — może zawołasz „krzywda“!... i staniesz na czele tych, którzy zażądają przywrócenia praw zburzonej rodziny.

¹⁾ Kaden-Bandrowski „Miasto mojej matki“.



KOBIETY W ZWIĄZKACH ZAWODOWYCH

Pracownicze związki zawodowe istnieją dla obrony i popierania interesów robotników, lub pracowników danego zawodu.. W pierwszym rzędzie związki zawodowe mają na celu poprawę, lub przynajmniej utrzymanie płac, a obok tego czuwają nad innymi warunkami pracy, takimi jak: długość dnia roboczego, jego rozkład, moralny stosunek zarządu przedsiębiorstwa do pracujących i t. p. Dobrze zorganizowane związki prowadzą wśród swych członków szeroką pracę kulturalno-oświatową: posiadają biblioteki, lub czytelnie, organizują kursy, odczyty, koncerty i zabawy i t. p.

Do niedawna w wielu krajach związki zawodowe utrzymywały również kasy zapomogowe na wypadek choroby i innych nieszczęść losu. Ponieważ dzisiaj we wszystkich krajach cywilizowanych zadania te podjęły ubezpieczenia państwowe, związki nie mają potrzeby dźwigać tych obowiązków, przerażających zresztą ich siły. Składki związkowców przeto, i inne dochody obracane są częściowo na cele kulturalno-oświatowe, częściowo zaś pozostają w kasie oporu, dostarczającej środków na podtrzymanie robotników w razie strajków.

Nie od dzisiaj zwrócono uwagę na słaby udział pracowników w ruchu związkowym. Nawet w tych zawodach, gdzie stanowią one poważny odsetek ogółu pracujących, nie one, lecz mężczyźni przeważają w związku — jeżeli niezawsze pod względem liczby, to z reguły co do wpływów i kierownictwa. Robotnicy stanowią mniej więcej 15% ogółu zorganizowanego. Oceniając ich udział w związkach zawodowych wogóle, według danych amsterdamskiej międzynarodówki t. zw. o kierunku socjalistycznym, otrzymujemy zestawienie następujące.

Na początku 1924 roku w związkach zawodowych, należących do międzynarodówki amsterdamskiej, było w cyfrach okrągłych:

	kobiet	mężczyzn
w Wielkiej Brytanii	280.000	4.048.000
„ Niemczech	1.326.000	4.731.000
„ Austrii	204.000	693.000
„ Francji	78.000	680.000
„ Belgii	48.000	547.000
„ Polsce	44.000	326.000
„ Szwecji	27.000	286.000
„ Czechosłowacji	55.000	269.000
„ Włoszech	27.000	207.000

Dane powyższe, jako pochodzące z jednej tylko organizacji zawodowej, nie dają obrazu dokładnego. Przytaczamy je jednak, gdyż są one jedynymi, ogłoszonymi łącznie dla wszystkich niemal państw euro-

pejskich, a ruch zawodowy tego odłamu jest bezwzględnie najliczniejszy. Należy przecież zastrzec, że w Wielkiej Brytanii istnieje odrębna wielka organizacja zawodowa kobieca, nie należąca do Amsterdamu, choć zbliżona kierunkiem. Liczby, podane dla Niemiec, są o tyle niewspółmierne z pozostałymi, że obejmują, prócz związków robotniczych, ogromny związek handlowców i urzędników, do którego należało około 419,000 mężczyzn i 124.000 kobiet. Być też może, że w organizacjach zawodowych innych odcieni, naprzykład w Belgii w związkach katolickich, kobiety reprezentowane są nieco liczniej. Niestety jednak nie posiadamy pod ręką odpowiednich materiałów. W każdym bądź razie organizacje zawodowe wszelkich kierunków (ostatnio naprzykład kongres związków chrześcijańskich w Utrechcie) utyskują na obojętność kobiet dla spraw ruchu zawodowego i szukają środków, któreby zdołały je pozyskać.

Przyczyny tego opornego stanowiska kobiet wobec organizacji zawodowych nie są trudne do odgadnięcia. Leżą one przede wszystkim w słabym zainteresowaniu kobiet dla spraw społecznych, wykraczających poza obręb rodziny i najbliższego otoczenia. Prócz tego kobiety, pracujące fizycznie, są to albo dziewczęta, aż nazbyt często uważające swój zawód za stan przejściowy, którego mus zniknie — i istotnie, częstokroć, znika z zamążpójściem, albo też mężatki, obciążone rodziną i płynącymi z niej ciężkimi obowiązkami, co nie pozostawia im ani wolnej myśli, ani czasu na zagadnienia szerszej natury. Tem niemniej udział kobiet w fabrykach i warsztatach jest zbyt liczny, by nieobecność ich, lub mała liczebność w związkach odpowiednich zawodów nie odbijała się ujemnie na życiu tych związków.

Z pośród trzech wielkich polskich organizacji zawodowych — socjalistycznej, Polskiego Zjednoczenia Zawodowego i chrześcijańskiej — tylko pierwsza ogłosiła dane, pozwalające wnioskować o współudziale kobiet.

W braku pozostałych, musimy poprzestać na tych danych, przypuszczając, że z małymi odchyleniami, są one miarodajne dla całości ruchu związkowego w Polsce. Z cyfr tych wynikałoby, że kobiety przeważają w trójnasób liczbę mężczyzn w warszawskim związku przemysłu tytoniowego *). Trzecią część zrzeszonych stanowią robotnice w związku przemysłu włókienniczego, co też odpowiada rozmiarom ich zatrudnienia w tej gałęzi produkcji, gdzie praca kobie-

*) Nieogłoszone drukiem świeższe informacje z tego samego źródła podają liczby bezwzględne i ustosunkowanie ich zupełnie inaczej.

ca przedstawia połowę ogólnej liczby zatrudnionych. Na stu członków związku zawodowego robotników rolnych przypada około 22 kobiet. W związku przemysłu odzieżowego, który liczy, jak wiadomo, ogromną liczbę pracownic, udział ich dochodzi aż do 42%.

Źródło, z którego czerpiemy, podaje także liczby kobiet zrzeszonych w związkach innych gałęzi przemysłu. Wystarczą jednak dane, przytoczone powyżej, tembardziej, że organizacje związkowe u nas nie mogą się poszczycić składem tak stałym, jak na

zachodzie i podawane przez nie, w najlepszej nieraz wierze, dane cyfrowe winny być brane zawsze z pewną ostrożnością.

Oddzielną pozycją w naszych związkach zawodowych są związki pracowników i pracownic handlowych. Stowarzyszenie kobiet, pracujących w handlu i biurowości, ma za sobą dłuższą przeszłość i mogłoby dostarczyć wiele interesujących szczegółów o sobie. Pod nagłówkiem jednak, którym opatrzone są słowa niniejsze, mówimy wyłącznie o fizycznej pracy kobiet.

M. B-L.



HENRY DE MONTHERLAUT

1

BIEG TYSIĄCMETROWY PANNY DE PLEMEUR

(Tłum. Teresa Tatariewiczowa.)

Prawdziwi sportowcy, z uśmiechem wyższości odnoszący się do tych, którzy się interesują sportem kobiecym, nie bez słuszności dowodzą, że na boiskach klubów kobiecych doświadczają się zupełnie odrębnych wrażeń od tych, które się odczuwa na naszych popisach sportowych. I czyż mogłoby być inaczej? Choć melodia jest ta sama, lecz jak gdyby pedał został użyty, nabiera ona potęgi i patetycznej powagi. Odwieczne uczucie Ulyssesa wobec Nauzykai, może pozostałość prawniecznego uwielbienia, które schyla człowieka w podziwie przed przyrodą. Sport męski porusza intelekt duszy, tu, obok intelektu, wchodzi w grę uczuciowa i zwierzęca strona duszy. Do poważnej melodii lakońskiej przyłączają się gorące tony harfy jońskiej i fletu frygijskiego: nowy ten ton wyraźnie zabrzmiał w przygodzie młodej atletki czechosłowackiej na ostatnich Igrzyskach Olimpijskich, która, chociaż sama nie stanęła jeszcze do zawodów, zemdląca, ujrawszy zwycięstwo swej towarzyszk, i musiano ją wynieść na noszach.

Historja panny de Plemeur da pewne wyobrażenie o tych skomplikowanych, a mało jeszcze znanych uczuciach, wprawdzie niezupełnie nowych w swej istocie, lecz których kombinacja jest nowa. Pewien młody autor zajmował się już niemi nieco.

...Było to w lipcu nad Oceanem. Widzę ją obok siebie, opartą o parapet, wyprostowaną, poważną, uśmiechającą się w dal szczytnym uśmiechem, tak szczytnym, jak głos dzwonów, brmiący w niebiosach. Z pod przejrzystej tkaniny przeglądają jej nagie ramiona i w słońcu połyskują światłem zamglonym, jak promienie słońca w czasie zaćmienia, a gdy za-

giel przemykający rzuci na nie swój cień, przybierają one barwę jasnego piasku, przysłoniętego skroplonym marzeniem. Odsunąłem się od niej, by się jej lepiej przyjrzeć, i wiatr mi przyniósł jej miłe włosy. Nie odwracając głowy, rzekła do mnie:

— Zobaczyłam na wodzie napisane imię pana.

* * *

Spotkałem kilkakrotnie na boiskach kobiecych dziewczęta, pochodzące ze szlachty bretońskiej; w rodach tych od wieków pokolenia przekazują sobie ducha niezależności i buntu. Dziewczęta te uprawiały sporty, jak bracia ich uprawiali politykę lewicową, całą wytrwałość i bogactwo starożytnej krwi kładły w sporty, które są dla nich, do pewnego stopnia, wyłamanem się z krępujących je więzów.

Gdy poznałem pannę de Plemeur, była ona dumą swego klubu: zwyciężyła w biegu na trzysta metrów i bezwątpienia nie miała rywalki we Francji. Zresztą była ona do głębi artystką sportu: niezrównoważona, fantastyczna, zniechęcająca się równie łatwo, jak upajająca się zwycięstwem, a przytem tak ekscentryczna, że gdyby nie jej sportowe zasługi, dawno usuniętoby ją z klubu, jako przyczynę zamieszania.

Miała dwadzieścia cztery lata; dla panny to przemijająca już wiosna. Piękno jej ciała nie zwracało niczyjej uwagi, gdyż brakowało jej pewnej pikanterji, która dla naszych mieszczuchów jest wszystkim, a może też dlatego, że się ubierała dziwacznie. Twarz jej nie była ładną (ale jakże uboga jest twarz, wobec

pięknego ciała! Sport ją zmieniał. Było to wyzwolenie doskonałego człowieczeństwa.

Brat jej, gdy go schwytano w obławie policyjnej, wstąpił w Afryce do wojska; stary de Plemeur rozpłakał się przed komisarzem, który szlacheckiego syna posadził na jednej ławie z sutenerami; policjanci odwracali się dla ukrycia uśmiechów: co za widok! wice-hrabia! Co do niej, wiedzieliśmy tylko mglisto, że z nudów, czy z fantazji opuściła tego starego hreczkosieja, który, w swym brudnym dworku, w pobliżu Morlaix, topił w alkoholu świadomość powolnego staczania się ku nędzy. Zamieszkała w małym pensjonacie, wyprawiając do swego rodzinnego domu wszystkich tych, którzy wyzyskują upadające rody. Czasem, gdy sport nie nakładał na jej twarz pięknej maski dziewicy-menady, zdawało mi się, że czytam w jej rysach smutek, który codziennie prawie się widuje z jednakim zawsze współczuciem na twarzach kobiet, spotykanych na ulicy: „Może nigdy nie wyjdę zamąż?”

Czyżbym się mylił? Sport tak, jak religja, bywa czasem zapomnieniem. Zauważyłem, że nieraz chłopcy i dziewczęta uważają zwycięstwo sportowe, jako sposób odzyskania zaufania do siebie, jako równowagę niepowodzeń, lub zawodów w życiu codziennem: nieśmiałości, przykrości i upokorzeń. Nowe bóstwo i nowe złudzenie.

Pewnego razu, ku ogólnemu zdumieniu, panna de Plemeur została pobita w finale biegu na trzysta metrów.

Porażkę przyjęła z całą lojalnością sportową, tak rzadką u kobiet. Ale, nie pożegnawszy się z nikim, przestała przychodzić na boisko i nie dawała o sobie znaku życia; wypadkiem, po pewnym czasie, dowiedzieliśmy się, że powróciła do Morlaix.

* * *

W trzy miesiące później ktoś zadzwonił do mnie. Panna de Plemeur, oczekająca deszczem, zjawiła się w moim odległym Neuilly. Znalazłszy się w salonie, zdjęła kapelusz (takie były jej zwyczaje) i potrząsnęła głową, ruchem małej dziewczynki, by rozstrząpać i przewietrzyć bretońskie swe włosy, wiecznie w niezgodzie z rozdziałem, poczem rzekła bez żadnego wstępu: — Rzuciłam wszystko! Zaczęłam się już starzeć. Tyłam, muskuły mi zeszytniały, a w dodatku przed miesiącem... Pan wie, jak to płomienie wybuchają, gdy ogień ma już wygasnąć? Tak samo czuję we mnie niewiarogodny wprost powrót do formy. Niech pan nie stara się nawet zrozumieć. Forma! Jest ona dla nas dotychczas nawpół tylko zrozu-

miała; zjawia się i niknie, jak wąż, czy wróżka! Utraćwszy mój sprint, wprawiałam się sama na boisku. I jestem pewna, rozumie pan, mam zupełną pewnością, że pobiję rekord tysiąca metrów, który został osiągnięty w 3 minuty 16 sekund. Tylko muszę spróbować zaraz, gdyż forma moja może zniknąć w przeciagu jednego dnia.

Wsiadłam do pociągu. W klubie powiedziano, że wszyscy razem wyjechali. Więc przyszedłam tutaj. Musi mi pan znaleźć boisko na jutro, jeśli to tylko będzie możliwe, i musi pan przyjść.

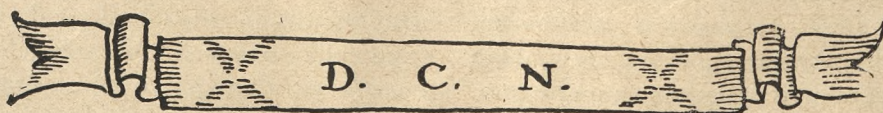
Dopiero wówczas, gdy będę miała pana świadectwo, że pobiłam ten rekord, powrócę do Klubu i do mojego porządnego życia. Tak musi być...

Próżne tłumaczenia. Przekonała mnie. To jej pragnienie było właściwie bezsensowne, gdyż, oileby nawet pobiła tysięczmetrowy rekord, zwycięstwo to nie liczyłoby się, jako dokonane bez oficjalnych świadków; ale cóż to znaczy, wobec tego, że mogę ją uszczęśliwić, nie krzywdząc nikogo. Gdy człowiek ma łatwe do spełnienia pragnienia, nie trzeba mu stawiać przeszkód. Tak prędko może się stać za późno.

Tylko, z pewną złośliwością (nie byłbym dopuścił do tego, gdybym ją był kochał) pozwoliłem jej prosić, błagać w podnieceniu, jak musiała błagać Emma Bovary pana Guillomin o parę groszy. Siedząc naprzeciw niej stwierdziłem z zainteresowaniem, że w przeciagu tych trzech miesięcy zapomniałem niejeden wyraz jej twarzy, podczas gdy pamiętałem najdrobniejsze szczegóły jej ciała, jak gdyby była należała do mnie. Od najmłodszego wieku przywiązywałem większą wagę do ciała, niż do twarzy i wdzięczny buziak na chorobliwej figurze — typ paryżanki — nigdy mnie tak nie wzruszał, jak brzydka głowa na pięknem ciele.

„Zabijecie flirt!“ jęczą wrogowie kobiecego sportu, dla których dziewczica, ukazująca nagie nogi gdzieindziej, niż w świetle kinkietów, jest zagubą rodzaju ludzkiego: „Nie odzierajmy kobiety z tajemnic!“ Z jakiegokolwiek punktu widzenia rozpatruję to zdanie, wyrażone w trybie rozkazującym, nie znajduję w niem nic innego niż: „zasłońmy trzy czwarte kobiety, aby się nam wydała piękna. W imię kobiecości, nie zdzierajcie tych zasłon i nie przyglądajcie się zbyt!“

Dziwna to apologja, która wistocie jest zniewagą, i co należy sądzić o kobietach, pochwalających taką pochlebną gburowatość. Zdumiewa w kobietach brak zaufania do siebie, dowodzi tego odwieczna ich pasja, z jaką się szpeca.



HANNA MORTKOWICZÓWNA

NIESZCZĘŚCIE

Czy cicho krąży w powietrzu nieznane i niedosięgłe,
Z tyłu się czai podstępnie, lub czyha za pierwszym węglem?
Czy ostrzy szpony tygrysa, czy ślini uściski gada,
Jakimi drogami zmierza, którędy tutaj się skrada?
Czy będzie zagadką losu, czy twarzą złego człowieka,
I w jakiej godzinie przyszłości na szczęście nasze czeka?
I w jakiej godzinie przyszłości w serce się bólem werzie,
Czy spadnie nagle znienacką, czy kły zatopi drapieżnie
Jad nieznanego, strasznego, jakimi wsączy ustami,
Czy w oczy plunie nam błotem, czy tylko krwią duszę splami?
Czy będzie głośnie rozpaczą, czy jak śmierć żółta i cicha?
Gdzie syczy, gdzie jęczy, czem grozi, którędy w grób nas spycha
Czy skrzydła czarne olbrzymie w górze jak krepę rozszerzy
I jak mu, jak mu na imię i kiedy, kiedy uderzy?

K A R A

Ześle Bóg sprawiedliwy karę — odmierzoną brzemieniem grzechu,
Za wzgardzony dar pocałunków w najróżowszej czarce uśmiechu,
Za te słowa, słowa ucichłe, za słoweczką od westchnień cichsze,
Potargane zwichrzone włosy, miękkie włosy rozwiane na wicherze,
Za tę smutną, schyloną głowę, za te usta od próśb zmęczone,
Za beztroskę wykrętnych listów — posyłanych w daleką stronę.
Za porywy nagłych uniesień, które przez nas stały się męką,
Za najczulszą pieczęcią dłoni odepchniętych niechętną ręką,
Za splekane drgające usta, które czasem kropla krwi plami,
Za płonącą, gorącą miłość tańczącymi deptaną stopami
Za te oczy, oczy wpatrzone, którym patrzeć szyderczy śmiech wzbraniał
Spali Bóg nasze serca okrutne — wiekiustym ogniem kochania.

RZECZYWISTOŚĆ

Gdy wszystko jest przeczone i wiadome i pewne
Od miłości różowe i od wiatru powiewne,
Ułożone z przypuszczeń i splecione z marzeń
Pełne jasných uśmiechów, nagłych przeobrażeń
Pełne śpiewu, trzepotu i skrzydeł zawiei
I najlepszej, najmłodszej, najjaśniejszej nadziei!
Kiedy wiadomi jutra, ufni, uroczyści,
Czekamy, aż nadejdzie, aż się wreszcie ziści,
Aż los, brat naszych pragnień — pewny najzupełniej
Wszystko co chcemy stworzy, wszystko nam wypełni,
Zdziwi się, że tak mało, żeśmy tacy skromni
I da wszystko — o niczem, niczem nie zapomni!

— Przychodzi rzeczywistość z pochylonem czołem
Z szarą troską codzienną i z twardym mozołem
Niewierząca w cud szczęścia, w ciężkiej pracy zdarta.
I taką nieżyczliwa i taką uparta!
Pomarszczona od zgrzyzot, od wysiłku zgięta...
Nic nie spełnia — o ni zem, niczem nie pamięta.

JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

Niech mi pan powie, który ksiądz katolicki nie bałby się wypowiadać umierającego unity?...

— Kto umiera? — spytał major

— Charytoniuk Andrzej. Nie wiem, czy go pan zna?

— Ten z powstania?... to oczywiście znam.

— Ten sam! Zbity jest na śmierć; ma połamane zebra; zapalenie płuc się wdało... pan pewno już słyszał...

— Słyszałem... i właśnie chcę z panią pomówić... ale załatwmy najpierw tę sprawę, bo pilniejsza. Jest tu młodziutki księżyk, wikary z Górek. Ten napewno nie odmówi... ale jeśli tam dusza się jeszcze trzyma, to podeślijcie lepiej pod wieczór, żeby nie narazić księżyny i niech się lepiej po chłopsku ubierze... stangretowi dać jaki przyodziewek, może nawet lepiejby było, żeby to nie dworskie konie. Niech który z gospodarzy da swoje...

— Ich koniki! kiedyżby to było?! Pojadę sama i księdza przywiozę. Wrazie czego, powiemy, że Cio-cia Frania zachorowała, a ze dworu przemknie się ksiądz na wieś.

— Chytrze pomyslane!

— Majorze kochany, proszę się nie gniewać, że pana samego zostawię. To niedługo! Każę zaprząć ogiery. Pójdą, jak wiatr...

— Pojadę z panią — rzekł major.

I patrzył, jak krótko, stanowczo wydawała rozkazy, ciotkę odkomenderowała do łóżka dla zachowania pozorów, a gdy wreszcie, ubrana już w futro, usiadła na chwilę w głębokim fotelu, czekając, aż zjadą konie, zagadnął ją badawczo.

— Proszę mi powiedzieć, jak to było?

— Alboż pan nie wie, jak się odbywa nawracanie unitów?!... Batożyli ich do śmierci. Rozbierali do naga na mrozie... a ci ludzie!... ci ludzie się nie zaparli!... ani jeden! A, gdyby pan to widział! śnieg był krwawy, płyty skóry leżały odwalone, nahajki cięły w żywe mięso!... — zakryła oczy.

— Ba! w Pratulinie strzelali do ludzi, broniących wejścia do swego kościoła. Atakowali bezbronnych bagnetami — kobiety, dzieci... Zabili trzynastu, kilkudziesięciu jest rannych... To wszystko już nie nowina! Ale, co pani zrobiła?... Pani rola w tem wszystkim? Zaprosiła pani, podobno, Gołowińskiego i Kutanina do pałacu?... A może to nieprawda, panno Lotko?!

— Prawda! Zaprosiłam, spoiłam — pojechali!

— A, czy pani wie, jakie wrażenie zrobiło to w okolicy? Całe sąsiedztwo się trzęsie! Arturek w rozpaczyl...

— Niemądry! — rzekła panna. — No, jedźmy! konie już są.

I nagle, jak błyskawica letnia, porwała się, biegnąc na ganek.

Ledwo nadszyść jej mogło stare majorzysko, bo nim wdział wilczurę, siedziała już w sankach, nawołując:

— Prędzej! Prędzej!

Mimo pośpiechu, mimo, że cięły ich w twarze bryły śniegu, szalonym biegiem kopyt końskich odrywane od ziemi, księdza przywieźli dopiero koło północy. Czeakać bo nań musieli. Pojechał był z Sakramentami do położonej w końcu parafji wioszczyny.

Charytoniuk jeszcze żył.

Więc bez latarni, żeby nie budzić licha, znajomymi ścieżkami, przez łąki, prowadziła wikarego pana i kucharz, eks-powstaniec, do wypraw takich niezmiernie ochotny. Zapadając w śnieg, chwilami po kolana, podążał za nimi major, by uściskać przed śmiercią rękę kolegi z oddziału ks. Brzóska... Ale Charytoniuk go nie poznał. Strzępek świadomości, który mu pozostał jeszcze, starczył tylko dla Boga i Jego spraw.

Przy mdłym pełganiu naftowej lampki, półgłosem odmawiał ksiądz łacińskie modlitwy... w izbie ciche łkanie kobiet i dzieci... kędyś w obejściu — żałośnie wycie psa... przy drzwiach klęczy major i Lotka... przed oczyma ma zczerniałą nagle twarz konającego chłopca... widzi, jak dusza jego odrywa się od umęczonej powłoki ciała... po izbie słania się srebrzystym cieniem... ulatuje... już ponad chatą... ponad polami... przez czarną otchłań nocy... odchodzi na gwiazdy... W chacie... szmer łacińskiej modlitwy... ciche łkanie kobiet i dzieci... kędyś w obejściu głucho wycie psa... pełganie mdłe światełka naftowej lampki... przy drzwiach klęczy major i Lotka... na pościeli... stężała, blada, coraz bardziej kamienna twarz Świętego.

IV

Była godzina 5-ta rano. Na stole szumiał samowar. Lotka nalewała herbatę księdzu i majorowi. Uważna, uprzejma, ze zwykłą grzecznością przyjmowała gości, ale duszą była daleka, najdalsza od wszystkiego co dokoła. Po tajemnych drogach nieskończoności, po nieprzebytych obszarach bezkresu dusza jej szła za duszą zmarłego unity. Szła, pełna płaczu i słów krzywdy, piekającej, jak żar, a zarazem niewymownego olśnienia pełna. Miała uczucie, że niesie czarę, pełną łez, ale promienie Nieskończoności spijają lzy... jak słońce spija rosę...

Po chwili, gdy ksiądz, ugoszczony i rozgrzany herbata, odjechał był, pióra jej lotu opadły ku ziemi.

— Co robić? — zwróciła się do majora — Niech mi pan powie! Co robić?

— Jakto?

— No, co robić dalej. Jak bronić ich przed przesładowaniem, przed męką, przed odstępstwem?

— Cóż tu zrobić można? — rzekł major posępnie — nic! nic! nic!

— Jakto nic?! Jabym tych ludzi uzbroiła, i niech walczą, niech się bronią, niech giną z bronią w ręku, nie od nahajki! Jabym...

— Co?! Co?! O czym ty marzysz?... zdumionem spojrzeniem mierzył ją major, a potem wyrzucił z nagłą złością: — Oszalałaś?! Wstydź się! dziecko nierozumne! Kto ma walczyć? z kim! Gdzież ta broń, u licha?...

— Broni jest podobno dużo zakopanej po lasach, jeszcze od powstania...

— Bajdy! Ale przecie oni sami nie zechcieliby... oni są wiernymi poddanymi cesarza... zaznaczają to zawsze... płacą podatki, dają rekruta... proszą tylko, by cesarz ich przy wierze ojców zostawić raczył...

— A cesarz ich nie zostawi?

— Oczywiście! Wyrok zapadł. Z tego kraju ma być wypleniona Unja i będzie! Tu ma być kraj prawosławny, rosyjski i będzie! Na nic się wszystko nie zdało...

— Ale oni się nigdy nie zgodzą! Raczej śmierć przyjmą...

— Panno Lotko, będzie, jak bywa zawsze w takich razach. Jednych zamęczą, reszta, przerażona, ulegnie... Ludzie są ludźmi.

— Nie! Nie! Ja ich widziałam w chwilach męki.

Zakryła twarz rękami, i siedzieli tak oboje w milczeniu w ten zimowy, jak noc ciemny, ranek, żując gorycz bezsilności i rozpacz poniżenia.

Po chwili major rzekł. — Jeśli pani pozwoli, ja tu zostanę na dłużej. Oni mogą wrócić, pani sama...

Podniosła nań oczy pytające, jakby nieprzytomne.

— Proszę bardzo! Niech major zostanie! Ale cóż to pomoże?...

— Nie pomoże, wiem! Tylko gawędy sąsiedzkie zatamuje... Pani nie ma wyobrażenia, jakie wrażenie w okolicy... to zaproszenie Moskali do pałacu — plotki niesłychane... mówią, że ...tańce, pijatyka..., orgja...

Lotka zmarszczyła brwi.

— Orgja — to przesada! — rzekła chłodno — Pijatyka — tak! Czemże można Moskała odciągnąć od apostołstwa, jak nie pijatyką? — zaśmiała się cichym, złym śmiechem. Starzec zmieszał się.

— Pani sama przyznaje?! Ja myślałem, że ten łajdaczyna nabajał, przesadził...

— Kto?

— Był tu z niemi, podobno, ten jakiś Zwieniewski z powiatu... a potem wyznał wszystko w konwulsyjnym ataku swemu kuzynowi, guwernerowi od Jac-

kowskich, ów opowiedział państwu o tańcach... pocałunkach ...zgaszonych świecach... o nocy...

Zaczerwienił się starzec i własnych słów przeraził, nie śmiejąc spojrzeć w oczy Lotki, a ona milczała posępna i zadumana, jakby ją to wszystko nie obchodziło.

— Cała okolica się trzęsie... — podjął znów major — hrabina Idalja broni pani, jak może, zaprzecza wszystkiemu, ale rozchorowała się ze zmartwienia...

Major mówił powoli, śledząc wrażenia na twarzy Lotki, ona jednak wciąż była daleka, zapatrzona w swoje wizje. Nagle zerwała się i, chodząc po pokoju, z załamanemi rękoma powtarzała zcicha i z wielką męką:

— Co robić? co robić dalej?..

Major wstał również i ujmując, ją za rękę, rzekł poważnie.

— Niech pani opanuje tę egzaltację! Muszę mówić otwarcie. Pani jest skompromitowana, zgubiona w opinii!

Pani Poradowska zabroniła Arturowi bywać w Łęgach. Rozumie pani! To był skandal niesłychany!

Dziewczyna wyrwała mu rękę i podniósłszy nań oczy, pełne zdumienia, mówiła zcicha.

— Wy chyba jesteście ludzie z innego świata? Wy chyba nie wiecie?... Widziałam na śniegu kałuże ludzkiej krwi... — mówiła, a wzrok jej był szklisty, jakby przed oczami miała całą scenę, — widziałam płaty skóry wiszące, oderwane od ciała, i nahajki, siekące w żywe mięso... widziałam, jak się ludzie w mękach nie zaparli Boga, jak całowali ręce katów, dziękując, że im pozwolili umrzeć za wiarę — widziałam coś, czego niema na świecie, coś, co tylko w legendzie... nie mogłam wytrzymać, musiałam jakoś ująć się za nim! A wy? Wy mi mówicie o skandalu, o opinii, o „nie wypada“! Dusze świętych idą przed tron Boga! A oni mówią „nie wypada“!

I śmiała się cichym, urągliwym, ale jasnym i szczerym śmiechem.

— A wiecie — rzekła po chwili — ja was nie znałam! wcale was nie znałam! no... i siebie nie znałam także...

Major się wzruszył.

— Panno Lotko! — mówił, całując rękę dziewczyny, — ja wiem, że pani tak pod wpływem współczucia, w egzaltacji wielkiej, że to z dobrego, najlepszego na świecie serca! Ja o pani nigdy nic złego nie myślałem, ale pani się nie zastanowiła, pani nie znała języków ludzkich, nie znała pani świata! Nie może młoda dziewczyna szastać swoją dobrą sławą. I na co się to zdało?.

Raz popili się, wyhulali, zbezcześcili stary, szlachecki dom, a potem co? Czy pani myśli, że nie wrócą?! — że zaniechają swojej przeklętej misji?! Nic nie poradzi! Choćbyś ty krwi z pod serca!...

Major umilkł na chwilę, a potem mówił znów głosem, nabrzmiałym łzami.

— Przecież i ja walczyłem... i na moich plecach są blizny od kijów... Ale teraz oni są górą! Teraz nie myśleć nam o oporze! Koło historii obróciło się wdół. Jest teraz tak źle, że gorzej już chyba nie będzie. Może kiedyś znowu... zmieni się... ale dziś...

Lotka słuchała z przerażeniem. Pierwszy raz te rzeczy ukazały jej się w takiej grozie, a nad wszystkim unosiło się to straszne słowo: wróć!

I z uporem natury zdrowej i mocnej, wyrwało jej się z głębi piersi po raz trzeci.

— Co robić? Co robić dalej?

A wtem do pokoju weszła Ksenia i cicho stanęła u progu.

Szarzało już na świecie.

Major powiódł po szybach zmęczonym wzrokiem.

— Świta!—rzekł.—Niech pani odpocznie, a i mnie dajcie się gdzie przespać, bom setnie znużony...

— Janie!

— Już, proszę pana majora, posłane w bibliotecę.

Pocałował Lotkę w czoło, ale ona jakby nic nie widziała i nie czuła, stała na środku pokoju chmurna... i milcząca...

Podeszła do niej Ksenia.—Mam paniące różne rzeczy powiedzieć.

Przeszły do sypialnego pokoju panny i drąc na bandażu stare płótno, które Lotka dobywała z wiel-

kiej skrzyni, od śmierci matki jej nie otwieranej, rozmawiały zcicha.

Ksenia dowiedziała się od żydów w miasteczku, że na przyszły tydzień Gołowińskiej wybiera się znów do Łęgów.

Oczy panny na tę wiadomość stały się zrazu czarne, potem zamigotały złą błyskawicą, wkońcu przysłoniły się całkiem powiekami.

Przez dłuższą chwilę trwało milczenie, tylko dargtego płótna suchy trzask szarpał ciszę.

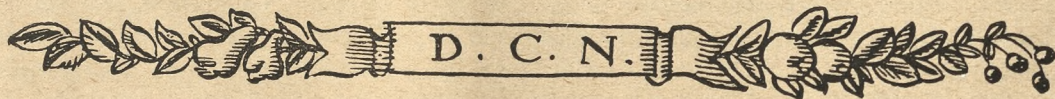
— Czy ty, Kseniu — ozwała się panna — nieswoim jakimś głosem i zamilkła.— Czy ty, Kseniu — powtórzyła znowu — znasz takie leki... takie zioła... od których się umiera... nie tak odrazu... ale wiesz — później, no w tydzień, we dwa?...

Ksenia spojrzała na nią bystro i pytająco? W te oczy znachorki, sięgające do głębi duszy, wpiły się teraz źrenice panny tak napastliwie, tak władczo, że Ksenia musiała dać odpowiedź.

— Panienko — rzekła — moja matka takie rzeczy umiała, ale ja nie chciałam nigdy się nauczyć. Nie wiem, jakie to są?...

— To źle!—rzekła głucho Lotka i wyszła z pokoju.

Ksenia zabrała bandażu i poszła wolno ku wsi. Gdy szła drogą, minął ją konny posłaniec, pędzący do dworu. Przyniósł on Lotce wieść, że hrabina Idalia jest umierająca i wzywa natychmiast siostrzenicę do siebie.



ZOFJA ŁOSIOWA

I

ZUZANNA ZE STRZEMBOSZÓW OŻAROWSKA

I.

Nie było szczęścia w pałacu w Lackiem. Pomimo swej wspaniałości, śliczne empirowe komnaty słyszały tylko szloch rozpacz, widziały łzy wylewane... Długo tak było — tak jest i dziś. Są piękne kobiety, które przechodzą życie jakby ze stygmatem tragedji na czole, są też takie domy, do których wchodząc, człowiek mimo woli zniża głos, jakby się obawiał spłoszyć jakieś duchy, czy cienie, po kątach się włóczące, piękne domy, od których wieje tragiczny smutek. Takim właśnie pięknym, tragicznym domem jest pałac w Lackiem, taką piękną, otoczoną nimbem tragizmu, kobietą była Zuzanna ze Strzemboszów Ożarowska.

Stoi biały pałac wśród zieleni starych drzew, a po jego komnatach snują się stare mary i wspominki.

Stoi biały pałac i дума, jak to ongi — ongi, w odległych, kontuszowych czasach bujne i gwarne życie w nim wrzało, jacy bujni i dziwni w nim ludzie mieszkali, i że z dziwnych najdziwniejszym był napewno pan Tomasz z Damajowic Strzembosz. Oto co o nim stare wspomnienia prawią. Fizycznie rosły był pan major, barczysty i nadludzkiej siły, a dziwnie i odrażająco szpetny. W dzisiejszych czasach nazwanoby go typem lombrowskim. Wydęte, mięsiste wargi, wystające kałmuckie kości policzkowe i kose

czarne oczka nadawały mu wyraz zły i okrutny, wyraz tępego, drapieżnego zwierzęcia.

Nigdy podobno natura nie skojarzyła tak wyglądu fizycznego z usposobieniem wewnętrznym. Do zwierza bowiem i moralnie podobny był pan dziedzic na Lackiem, Lackiej Woli, Olszanicy i szesnastu innych wsiach i miasteczkach. Nie mówiąc już o tem, że poddani ginęli, jak muchy, od razów jaśniepańskiej pięści, lub od dobrze wycelowanego kopnięcia, o niejednym powolnem konaniu ze strachu opowiedziećby mogły piwnice w Lackiem, czy studnia w Olszanicy. Choć studnia ta i późniejsze jeszcze wspomnienia chowa, o których później usłyszymy.

Gdy pan Tomasz, wraz z innymi, pociągnął pod orły cesarskie, i za „empererem“ aż do Moskwy zaszedł, żona młoda z czworgiem drobnych dzieci oczekiwiała w Lackiem jego powrotu. Czy z wielkiem utęsknieniem i niecierpliwością—tego legenda nie mówi, aleć chyba, że nie — bo ciężki to był człowiek, pan Tomasz, i przykry dla najbliższych. A już, gdyby przeczcuciem wieszczem wiedziona, ujrzała, co przyszedł powrót bohatera jej i dzieciom przyniesie, byłaby się pani Strzemboszowa modliła o rychłą śmierć i szczęśliwe, a lekkie skonanie dla swego pana i władcy. Że jednak przeczcucia zdarzają się rzadko i nawet przed matkami Bóg rąbka przyszłości nie uchyla, więc napewno pani Strzemboszowa śpiewała wraz z czeladzią i dziećmi godzinki na intencję szczęśliwego powrotu męża, jako, że kobieta była pobożna i obowiązek swój znająca. Pan Tomasz, tymczasem, ranny w potrzebie wojennej, aż gdzieś w głębi Rosji, znalazł przytułek i opiekę w domu księżnej Zasiakinowej, wdowy, née Strzembosz. Czy krewną mu bliską była, czy znali się dawniej, czy nawet łączyła ich niegdyś nić sentymentu, nie wiemy, i na tym temacie bujna dziejopisa fantazja różne romantyczne kwiatki haftować może.

To jedno jest pewnem i wiadomem, że pan major, z rany się wylizawszy, groźniejszy od niej postrzał od Amora otrzymał i, zataiwszy stan swój małżeński, Annę Bonę Strzembosz, 1^o voto księżną Zasiakin, do ołtarza powiodł. Z Rosji zaś, w chwili cofania się wojsk cesarskich, do Galicji ją przywiózł. Wprost do pałacu w Lackiem. Do tego samego pałacu, w którym oczekiwała go żona z czworgiem dzieci.

W wielkim empirowym salonie, pod smukłemi kolumnami, spotkała się pani Strzemboszowa z piękną Rosjanką. Wieść niesie, że dowiedziawszy się w tej chwili właśnie o swem wzajemnem istnieniu, padły sobie w objęcia, a jedna z nich rzekła: „Obie nas oszukano i obie jesteśmy nieszczęśliwe“.

Dobre te stosunki niedługo jednak trwać mogły, w tak osobliwej zwłaszcza sytuacji, to też w bardzo niedługim czasie w każdym z dwóch odległych skrzydeł pałacu lackiego zamieszkała jedna pani Strzemboszowa i widywać się przestały.

Pan Strzembosz zaś, ujarzmiony wdziękiem pięknej „Moskiewki“ — jak ją zwała okolica, — powziął

do matki swych dzieci gwałtowną, z dnia na dzień rosnącą nienawiść. Po strasznych scenach uciekła nieszczęśliwa kobieta do Lwowa, zostawiając czworo dzieci na opiece niepoczytalnego ojca i szczęśliwszej swej rywalki.

Od tej chwili zaczyna się w Lackiem nieprzerwany łańcuch tragedji.

Strzembosz zakazał domownikom wymawiać nawet imienia zbiegłej żony. Pamięć jej miała być na wieki pogrzebana. Dzieci winny były zapomnieć, że miały matkę.

Dobłą jednak matką musiała być pani Strzemboszowa, bo dzieci pamiętały. Pamiętały, pomimo oddalenia i trudności komunikacji, mimo grozy gniewu strasznego rodzica. Pierwszy za pamięć tę zapłacił życiem najstarszy syn, Leon.

Było to w roku 1818, więc w niedługim czasie po ucieczce matki z Lackiego. Wedle wieści, do dziś w Lackiem przechowywanej, zastał go ojciec w małym, półokrągłym saloniku nad listem, do matki pisanym.

Jednem uderzeniem pięści powalił rozwścieczony furjat chłopca na ziemię. Gdy go służba nieprzytomnego podniosła, nie było już nadziei utrzymania go przy życiu. Nazajutrz skonał. Kilkoro wiernej służby, narażając się na gniew pana dziedzicowego, odprowadziło skromną trumienkę, na prostym wozie umieszczoną, aż pod wrota cerkwi. Proboszcz jednak nie dorównał im odwagą, wrota zamknąć kazał i pogrzebu odmówił. Straszna musiała być obawa przed zemstą Strzembosza, skoro ksiądz obawiał się zwłoki syna jego pochować.

Jak gdyby ta krew, niewinnie przelaną, rozpętała w nim całe morze złości i okrucieństwa. — szaleje teraz Strzembosz.

Dzieci dorastają w atmosferze lęku i grozy, w żalach ich jednak płynie, widać, krew pana Strzemboszowa, bo jak straszny rodzic nie zelżał w swej nienawistnej ku żonie zapamiętałości, tak one w przerażonych swych duszyczkach pielęgnują wiecznie i wytrwale wiatły kwiatek wspomnień matczynych i cichą ku niej miłość.

Z drugą żoną Strzembosza stosunki układają się znośne. Może jej wschodni nieco wdziek i przepyszna uroda rozbroiły dzieci, dość, że pasierby zwa ją „Mamińką“, a do dziś przechowały się w Lackiem jej portrety, troskliwie przed zębem czasu chronione. Wędrowiec, szukający natrętnie dawnych wspomnień lackich, spostrzeże w rogu bawialni mały portrecik w złotych, empirowych ramkach, szkic ołówkiem, przedstawiający kapryśną, rozburzoną główkę kobietą, o tęsknych, dużych oczach. Pod portrecikiem napis „la divine maman“.—To właśnie Anna Bona ze Strzembosów Strzemboszowa.

Spokojne życie lackiego dworu przerywane była obecnie jedynie atakami furji pana dziedzica, przed którymi drżą zarówno domownicy, jak chłopci,

bo każdy taki atak zwykle krwią, niewinnie przelaną, znaczone.

Do dzieci swych żywi Strzembosz specjalną niechęć. Może mu żonę, ciężko ukrzywdzoną, przypominają, może z oczu ich patrzy wspomnienie najstarszego, pierworodnego syna, może wreszcie drażni go ta wierna i cierpliwa miłość ku dawno niewidzianej matce?

Wieść niesie, gwarzy ponura legenda, że to ostatnie właśnie uczucie było powodem drugiej krwawej tragedji w Lackiem.

Było to w czerwcu r. 1822, Pan Tomasz wybrał się z synem, piętnaście lat wówczas liczącym Janem na rogacza. Chłopiec chybił zwierza, co widząc Strzembosz, w napadzie zwykłego obłąkanego gniewu, syna trupem położył. Druga trumienka spoczęła w niepoświęcanej ziemi. Na miejscu zbrodni stoi dziś smukły obelisk.

Pustoszeje dom furjaty. Guwerner chłopców w obłąkaniu życie kończy. Po pałacu snują się już tylko struchlałe córki, jak dwie ofiary na swoją czekające kolej. Obie, siedemnastoletnia Honorcia i czterastoletnia Zuzanna, śliczne jak aniołki. Portret ich, z anielskimi u ramion skrzydełkami, do dziś jasną plamą zdobi smutny salon w Lackiem. Wyzierają z niego ku nam dwie pary cudnych, jak morska wo-

da zielonych, bezdennie smutnych, skośnych nieco oczu.

W r. 1827 w nowym napadzie furji rzuca się Strzembosz na Honorcię i jednym szarpnięciem ręki wyrwa jej warkocz. Przerazona dziewczyna w dni parę na zapalenie mózgu życie kończy.

Nie czeka na równie straszny los Zuzanna. W ciemną wrześnieową noc ucieka dziewczątka struchlałe do Lwowa. 70 kilometrów pieszo gościńcem lwowskim biegnie przed siebie, byle dalej od domu, dalej od straszego szaleńca, którego ojcem zowie.

Oparła się aż na rogatkach miasta. Tu matkę odnalazła. Z pomocą rodziny umieściła ją pani Strzemboszowa w klasztorze panien Sakramentek. Nareszcie w spokojnem zaciszu przychodzi do siebie Zuzanna Strzemboszówna i rośnie piękna, nadto, na nieszczęście swoje, piękna, zdala od ludzi, zdala szczególnie od krwawego warjaty, rodzica swego.

Nie danem jej było w murach kochanego klasztoru długo przebywać, jak nie danem jej było w życiu późniejszym cieszyć się dłużej każdą lepszą losów swych odmianą.

Nie do szczęścia urodziła się Zuzanna Strzemboszówna...

.....



Z ŻYCIA I DZIAŁALNOŚCI KOBIET W STOLICY

NA ZAMKU W WARSZAWIE

Co pewien czas odbywają się z inicjatywy pani Prezydentowej Mościckiej konferencje na Zamku, poświęcone zagadnieniu opieki nad dzieckiem w Polsce. Pierwsze z tych zebrań, złożone wyłącznie z kobiet, zgromadziło w stylowych komnatach dawnej siedziby królewskiej cały szereg działaczek społecznych, różnych obozów i odcieni. Stanowiło ono niejako wstęp do dalszej akcji, a jego doraźnym rezultatem stało się założenie w Spale, rezydencji letniej Prezydenta, bursy dla dzieci bezdomnych.

Druga z rzędu konferencja, zwołana na dzień 17 stycznia r. b., pogłębiła w umysłach zgromadzonych pań i panów doniosłą treść zagadnienia.

Referaty dr. Krakowskiego i wice-wojewody warszawskiego, p. Łopatto, ukazały całość poczynąń odrodzonej Polski w tej gałęzi opieki społecznej, ale podkreśliły też jednocześnie kolosalne, a niezaspokojone dotąd potrzeby społeczeństwa naszego w tej

dziedzinie. Wyczerpujące referaty zajęły tak wiele czasu, że dyskusję nad nimi postanowiono przenieść na posiedzenie następne, które odbyć się ma za parę tygodni. Dyskusja ta ujawni niewątpliwie wiele rzeczy ciężkich i bolesnych, na które nie wolno nam zamykać oczu.

W MINISTERSTWIE SPRAW WOJSKOWYCH

Na wniosek Komitetu społecznego przysposobienia kobiet do obrony kraju, odbyła się dn. 18 stycznia r. b. konferencja w Ministerstwie Spraw Wojskowych. W konferencji wzięły udział, prócz Zarządu Komitetu, przedstawicielki stowarzyszeń, do Komitetu należących: „harcerstwa“, „strzelca“, „Koła Polek“, „Rodziny Wojskowej“, „Pracy Obywatelskiej“, „Polskiego Czerwonego Krzyża“, „Polskiego Białego Krzyża“ i t. d.

Pod prezydencją p. Ministra spraw wojskowych, Marszałka Piłsudskiego, rozważano kwestję usług, ja-

kie kobiety oddać mogą armji, wraź wojny, w zakresie służb pomocniczych: sanitarnej, gospodarczej, kancelaryjnej, oświatowej, łączności i t. d.

Na podstawie doświadczeń, dokonanych podczas lat wojny, p. Marszałek dał wyraz uznaniu swemu dla pracy i służby kobiet w wojsku, oraz podkreślił konieczność wyzyskania sił całego narodu, a więc i kobiet także, dla dzieła obrony kraju, na wypadek wojny.

Systematyczne i gruntowne, a na doskonałym wychowaniu fizycznym oparte, przysposobienie kobiet do służb pomocniczych w wojsku, uznaje Marszałek Piłsudski za rzecz ważną i potrzebną.

Po referacie przewodniczącej Komitetu, p. K. Łubińskiej, wywiązała się dyskusja w sprawach organizacyjnych. Chodziło mianowicie o ustosunkowanie się Komitetu i jego instruktorek do Ministerstwa Spraw Wojskowych z jednej strony, oraz do stowarzyszeń, pracujących nad wojskowym przysposobieniem kobiet — z drugiej.

Po wyjaśnieniu dokładnem tych spraw, obiecał p. Marszałek w najbliższym czasie wydanie ostatecznej decyzji.

Andrea.

Kobieta w świecie i w domu

MOLJER FEMINISTA

Z inicjatywy Ligi Francuskiej Równouprawnienia Kobiet odbył się niedawno w Bordeaux odczyt znanego adwokata tamtejszego, p. Chambarière, który postawił sobie za zadanie wykazać słuchaczom, iż słynny twórca „Uczonych kobiet”, uważany od wieków za przeciwnika wszelkiej emancypacji niewieściej, był w gruncie rzeczy zdecydowanym feministą. Sensacyjny temat odczytu zgromadził liczne grono słuchaczy i słuchaczek, przed którymi prelegent rozwinął swoją tezę, popierając ją całym szeregiem argumentów nie tyle niezbitych, ile pomysłowych.

Skąd powstała legenda o antyfeminizmie Moljera? zapytuje p. Chambarière. Opiera się ona na kilku zdaniach z jego komedij, ośmieszających ówczesne sawantki francuskie. Z równym powodzeniem należałoby przypisywać Moljerowi chęć ośmieszenia rodzaju męskiego, nie oszczędzał on bowiem śmieszności i wad obu płci w jednakowym zupełnie stopniu. Za poczuciem sprawiedliwości i należnych kobietom praw przemawia u Moljera cały szereg scen, w których wielki ironista wydrwiwa despotyzm i głupotę mężczyzn, pragnących z żon swych uczynić stworzenia biernie, ograniczone, niewolnicze. Przypomnijmy sobie tylko chociażby typ Arnolfa w „Szkoła małżonek”, który radby mieć żonę głupią, brzydką nawet, byleby mu była posłuszną we wszystkim.

Jeszcze bardziej przekonującymi są zdania, włożone przez Moljera w usta Klitandra i Henrijety z „Uczonych Kobiet”. Zdania te są, jak twierdzi prelegent, odzwierciedleniem poglądów samego autora, domagającego się dla kobiet praw do szerszego i rozumniej pojętego wykształcenia, niż to, z którego korzystały kobiety za jego czasów.

Charakterystycznym także rysem jest fakt, że w epoce, kiedy wszystkie młode dziewczęta wydawane były za mąż przez rodziców, bez zasięgania ich rady, a często nawet wbrew ich woli — Moljer każe wszystkim nieomal swym bohaterkom zawierać małżeństwa z miłości. Wszystko to świadczy o bardzo postępowych poglądach Moljera na prawa kobiety współczesnej. I jakżeby zresztą mogło być inaczej? Wielki komedjopisarz żył w epoce, w której kobiety odegrywały we Francji rolę bardzo wybitną we wszystkich dziedzinach życia społecznego, nie wyłączając nawet polityki. Współczesne mu są takie postacie kobiece, jak pani de Sévigné, pani de Maintenon etc. Nie można też zapominać i o wpływie, jaki wywarła na twórczość Moljera żona jego, piękna i zalotna Armande Réjart.

Kończąc swe wywody, mówca zaznaczył, że Moljera z całą pewnością zaliczyć możemy do zwolenników idei emancypacji kobiet.

JAPONKA O NASZEJ CYWILIZACJI

Kobiece pismo amerykańskie „The Woman Citizen” poświęca dłuższy artykuł recenzji świeżo wydanej w języku angielskim książki pióra jednej z wybitniejszych kobiet w Japonji. Autorka tego dzieła spisuje w nim swe wrażenia z wędrowek po Europie i Stanach Zjednoczonych. Podnosi ona z uznaniem wiele cech dodatnich naszej cywilizacji i wyraża nadzieję, że i Japonja pójdzie niebawem tym samym torem postępu. Jedno tylko wydaje się jej dziwnem i niezrozumiałem — to, przy całym równouprawnieniu kobiety, jej zależność finansowa od męża, Japonka wyraża swe zdziwienie nad niekonsekwencją poglądów naszych i zapytuje: „Czem można wytłumaczyć sobie powszechny w Europie i Ameryce fakt, że kobieta inteligentna i wykształcona, której praca, o ile jest niezamężna, warta jest tyle a tyle dolarów miesięcznie — staje się, z chwilą zamążpójścia i przeniesienia swej działalności na teren rodziny, osobą zupełnie zależną finansowo i traci wszelkie prawa do najskromniejszego bodaj wynagrodzenia za ponoszone trudy? Dlaczego służąca i gospodyni, pełniące tę samą robotę, tylko w sposób daleko mniej inteligentny i z mniejszem oddaniem się tej pracy, otrzymują za nią wynagrodzenie, żona zaś musi zadawać sobie tylko tem, co mąż jej zechce przeznaczyć? Widziałam w Europie kobiety inteligentne i wykształcone ponad przeciętny poziom męski, kobiety, których praca pozadomowa ceniona byłaby z pewnością na setki dolarów miesięcznie — a które nie posiadały na własność nawet jednego dolara i zmuszone stale były zwracać się do męża z prośbą o pieniądze na każdy, najdrobniejszy bodaj wydatek. U nas w Japonji rzecz ta nie byłaby poprostu do pomyślenia. Tradycja japońska mianuje męża „głową rodu”, lecz żonę „panią domu”. Wedle tej tradycji od niepamiętnych czasów piastuje kobieta japońska godność jedynej zarządczyni funduszów rodzinnych. Zarobek męża oddawany jest w całości do rozporządzenia żony, któ-

ra z funduszu tego obowiązana jest pokrywać wydatki na utrzymanie domu, naukę dzieci, ubranie całej rodziny, oraz wszelkie inne wydatki, jakie pociąga za sobą społeczne i towarzyskie środowisko męża. Cały budżet domowy przystosowanym być musiał do tego środowiska, osobiste zaś wydatki męża musiały również w tym budżecie znaleźć pomieszczenie. I tutaj sytuacja w Japonii przedstawia się w sposób całkiem odwrotny, niż w Europie: — o ile mąż potrzebuje pieniędzy na swoje osobiste wydatki, zwraca się o nie do swego bankiera — żony. Ambicją jednak każdej żony japońskiej jest takie rozplanowanie budżetu, aby mąż na te wydatki miał pozostawioną sumę jaknajwiększą.

„Zdaje mi się — dodaje autorka — że, pomimo naszego niewątpliwego zacofania na wielu punktach, znaleźliśmy jednak racjonalniejszy i bardziej zgodny z poczuciem sprawiedliwości sposób wyjścia z sytuacji, która w Europie, a bardziej jeszcze w Ameryce, stwarza niejednokrotnie podłoże do niezgody małżeńskiej i idących wśląd za nią rozwodów“.

NAJSTARSZA EMIGRANTKA

W ubiegłym miesiącu obchodzoną była w Australii uroczystość dziewięćdziesiąta rocznica otwarcia dla kolonizacji terenów Australii południowej. W uroczystościach tych brała udział najstarsza z żyjących jeszcze pierwszych emigrantów, którzy przybyli na dziewiczą ziemię australijską. Jestto niejaka panna Fisher, która przybyła przed dziewięćdziesięciu laty do Południowej Australii wraz z rodzicami, należącymi do pierwszej grupy pionierów. Panna Fisher obchodzi w tym roku setną rocznicę swych urodzin, jest pozatem zupełnie jeszcze rześką i dzielną staruszką i opowiada bardzo chętnie o swych przeżyciach i trudnościach, jakie mieli do zwalczania pierwsi pionierzy kultury i cywilizacji europejskiej na australijskiej ziemi.

Z. B



TEATR LETNI:

„Potęga Reklamy“ Krotoczwila w trzech aktach
Roi Cooper Mcgrue i Walter Hackett.

Przywykliśmy do myśli, że Ameryka jest klasycznym krajem reklamy, że każde przedsiębiorstwo wydaje tam setki tysięcy na zachętę publiczności do kupna swoich towarów. że kwestja reklamy wogóle nie istnieje w Ameryce. Otóż nieprawda. Właśnie tam, w tym arcy reklamowym kraju, istnieją daleko idące różniczkowania poglądów, co jest przyzwyczają, a co nieprzyzwyczają reklamą. Powiedziałabym, rodzaj kodeksu honorowego, który ściśle przestrzegają starzy solidni byznesmeni, a z którego wyłamuje się młode pokolenie. Odwieczna walka ojca z synem — pojęta, oczywiście, po amerykańsku.

Pan Cecyl Martin jest prezesem Trustu Mydlanego i inspektorem fabryk mydła. Obowiązki swoje pojmuje w ten sposób, że wykupuje wszystkie małe fabryki: konkurencja jest rzeczą niezdrową, i t. p. Wilczy (zdrowy!) apetyt pana Martin nie będzie jednak

zaspokojony, dopóki nie uda mu się połknąć rywala a zarazem najserdeczniejszego przyjaciela pana Clerk z „Mydła Perła“. Martin czuje anse do Clerka nie tylko za uparte samodzielne prowadzenie byznesu; jest jeszcze między nimi „wasń rodzinna“! młody Ellery Clerk ma opinię chłopca pracowitego, gdy tymczasem jednak pana Martin, Rodney, hołduje poglądom, że nie należy bez końca powiększać majątku, skoro papa posiada dostateczną ilość dolarów, pocóż on miałby robić rzeczy sobie nie miłe? Między dwoma ojcami staje zakład o 30 tysięcy dolarów, który z chłopców zrobi wciągu roku więcej pieniędzy. Martin zgóry wie, że zakład przegra, ale nie zawadzi spróbować. Zakłada się więc „na boku“ z własną swoją stenotypistką, panną Grayson. że żadna siła ludzka nie zmusi Rodneya do pracy. Panna Grayson jest ładna i, jak przystało na rasową amerykanke, lubi i dolary, i hazard zakładów. Bez trudu udaje się jej rozkochać w sobie Rodneya i zmusić do wyznania tego ojcu. Stary wybucha „wspaniałym gniewem ojcowskim“ i wymawia synowi dom „Zginiesz z głodu, nicponiu!“ „Nie“ odpowiada Rodney „będę pracował“. Panna Grayson wygrała. I natychmiast między nią i starym Martinem staje nowy zakład, czy uda się jej utrzymać Rodneya w dobrem postanowieniu. Panienska robi to bez najmniejszego sentymentu, jedynie dla wygranej; wie, że nie jest partją dla milionera, że Rodney pocieszy się łatwo... A tymczasem Rodneya ogarnia zapał pracy: będzie wyrabiał mydło, tanie mydło, według przepisu, znalezione w książce kucharskiej. Trust! Furdal! nie boi się trustu! Zwalczy ojca bronią moralną: syn króla mydła, wydziedziczony przez chciwego ojca i t. d. Nie wiemy, jakby się powiodło panu Rodneyowi, i czy na długo starczyłoby mu zapału, gdyby opatrność nie zesłała mu anioła, w postaci pana Ambrożego Peale. Anioł ten ma rudą czuprynę, wielkie okulary, jeszcze większy zapał i jest entuzjastą reklamy. Reklama, to jego Bóg, to tajemnica powodzenia, to potęga, przed którą drży świat. Peale przekonuje Rodneya, że pomysł jego jest chybiony, o ile nie uda im się zwalczyć ojca przy pomocy reklamy. Będzie to reklama ultra nowoczesna, reklama, obrażająca poczucie przyzwoitości handlowej starego jankesa. Szybko nadają swemu nieistniejącemu mydłu nazwę „Trzynastka“ i przystępują do dzieła, mając na początek kilka tysięcy dolarów (stary Martin sam pożyczyl je synowi incognito, przez swego przyjaciela).

Byznes Rodney—Ambroży—Mary ruszył całą parą. Jest to istna orgja reklamowa. Plakaty („Mydło Trzynastka, fatalne dla brudasów!“), anonse, ogłoszenia w pismach, w hallach hotelowych... Kapitał zakładowy dawno się wyczerpał. „Spółce“ grozi kryminał za wystawienie czeków bez pokrycia. Ale Amerykański Bóg byznesu opiekuje się śmiały: Ellery Clerk, „wzorowy syn mydła Perły“ zgłasza się do Rodneya; pragnąłby dowiedzieć się od niego tajemnicy robienia pieniędzy i gotów przystąpić do „Trzynastki“. Ponieważ tenże sam los srowadza w tymże samym czasie starego Martina, „spółka“ bez trudu przekonywuje starego że jest na drodze do majątku, że „Perła“ ją finansuje, i t. d. Martin z początku nie ufa; ale stoi przed nim oczywisty dowód: Ellery! Więc się daje nabrać i kupuje markę „Trzynastki“ za grube pieniądze. O tem „nabraniu“ ojca nie wie nic panna Grayson, która zdążyła się przez ten czas zakochać w Rodney'u Przerażona złym stanem jego interesów, wyznaje wszystko ojcu... Oczywiście Martin cofa swoje warunki i odchodzi, rzucając młodym słowa prawdy... Ale Bóg opiekuje się śmiałym byznesmenem: firma dostaje zamówienie na 50.000 kawałków „Trzynastki“. Mydło to wprawdzie nie istnieje, ale kupi się poprostu w fabryce ojca trzycentowe goździkowe mydło, przepakuje, sprzeda po 60 centów — i sprawa załatwiona. Niestety, zamówienie było fikcyjne; stary Martin, litując się nad synem, prosił firmę Marshall Fielda o tę przysługę; dał 5.000 kawałków synowi na odczepnego, i nie da więcej. Dość stracił na tej aferze, i dość ma bezsensownego bluffu... Tu jednak Fortuna stanęła zdecydowanie po stronie młodych: Marshall Field sprzedał trzycentowe mydło po dolarze, żąda pozostałych 45.000 kawałków!... napływają inne zgłoszenia... Stary Martin widzi na własne oczy, jak zasugerowani reklamą ludzie, myją się jego własnym taniem mydłem, w przeświadczeniu, że jest to ostatni wyraz wykintu! I sam staje się entuzjastą reklamy — i, co ważniejsze dla młodych — współnikiem firmy „Trzynastki“. A jak potrafi zachwalać „Trzynastkę“, jak przekonywująco mówi o potęgę reklamy — nieodrodny uczeń bezcennego Ambrożego Peale!

„Potęgę reklamy“ poprzedziła reklama, że jest to jedna z zabawniejszych i weselszych komedij amerykańskich i że cieszyła się z oceanem olbrzymim powodzeniem. Chętnie w to wierzymy. Jest naprawdę ogromnie wesoła, a że grano ją w „Letnim Teatrze“ w tempie iście amerykańskim, więc nie mieliśmy czasu tak bardzo zastanawiać się nad „moralnem zdrowiem“ jankesów, którem klują w oczy nas, zepsutych europejczyków...

Grana była „Potęga reklamy“ doskonale, reżyserowana pomysłowo. Pan Zelwerowicz, jako Ambroży Peale, witany był głośnie mi oklaskami, pan Kurnakowicz dał przekomiczną sylwetkę wzorowego syna, Ellery, pan Orwid był charakterystycznym starym jankesem, pan Hnydziński i panna Lindorfówna uosabiali młode pokolenie.

Z. P

O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

MIESZKANIE W MIEŚCIE I WILLA

Zanim zrealizują się marzenia o przyszłych miastach-ogrodach, powstanie jeszcze niejeden dom dochodowy. Sama nazwa domu dochodowego wskazuje, że chodzi tu o wykorzystanie każdego metra kwadratowego na wszystkich piętrach, od suterenu po dach, czy taras. Doniedawna oszczędność i wyzysk doprowadzały do absurdalnych wyników w postaci małych, mrocznych podwórek, choćby najozdobniej wyłożonych kafelkami, lecz za małych, by dać dostateczną ilość światła lokalom, na niższych piętrach położonym. Same zaś mieszkania były przeważnie ciemnawe, o małym przedpokoju, ciasnych pasażach i innych brakach. I nadal będzie śródmieście narażone na pewne niedoświetlenie, klęskę nie do usunięcia przy zwartej zabudowie całych dzielnic. To też na dolnych piętrach mieszczą się zazwyczaj sklepy, składy i biura, dopiero na wyższych — mamy mieszkania.

W genialnych projektach miast przyszłości widzimy różne wyjścia z tej sytuacji.

A więc, najpierw, miasto wież, złożone z kolumn 300 mtr. wysokich, mogących pomieścić do 40 tysięcy ludzi. Całe miasteczko, zaopatrzone we wszystko, stojące rzadko wśród ogrodów i parków, połączone kolejami podziemnymi, szosami dla różnej szybkości aut, wreszcie ruchomymi chodnikami. Kiedy indziej znów widzimy bloki, przeciętnie 12-sto piętrowe, ciągnące się wzdłuż ogromnie szerokich pasów wolnej przestrzeni, linią łamaną. Między domami mamy jezdnie, kolej, parki. Kurz z jezdni nie dolatuje wcale do okien mieszkań, hałas — zmniejszony do minimum. Domy, budowane na 2 fronty, mają najwyższą ilość potrzebnego światła.

Są to słoneczne wizje, dość odległe. Bliżej mamy już urzeczywistnione u nas zabudowywanie kwartałów, z pozostawieniem w środku wolnej przestrzeni na ogród, czy park. Takie domy też będą miały światła poddostatkiem. Jeśli chodzi o poszczególne place w śródmieściu, gdzie, na ograniczonym murami sąsiadów miejscu, ma stanąć dom mieszkalny, to Ameryka, Francja, a ostatnio i my budujemy domy piramidalne. Czyli, że górne piętra, począwszy od 3-go, 4-go, cofają się od ulicy. Otrzymujemy wtedy wąskie tarasy, biegnące wzdłuż całej fasady. Zagadnieniem ściśle architektonicznym będzie opracowanie wnętrza dolnych pięter.

Mamy więc cały szereg możliwości, w których planujemy mieszkania miejskie. Lecz zawsze trzeba mieć jedno na uwadze — oszczędność miejsca. Ale też trzeba uwzględnić wszystkie nowoczesne wymagania higieny, tudzież zmiany w całym założeniu mieszkania, w trybie życia, w potrzebach mieszkańców.

Zacznę od małego mieszkania z dwóch pokoi i kuchni. Niezależnie od tego, czy zajmie je robotnik fabryczny, czy profesor, będzie ono miało te same wymagania. A więc, mały przedpokój ze schodów. Z niego wejście do pokoju mieszkalnego i kuchni, służy on jednocześnie, jako izolacja pomiędzy kuchnią i mieszkaniem. W przedpokoju konieczna szafa na okrycia. Większy z pokoi nazwijmy mieszkalnym. Tu będzie biurko, czy stół do pracy, stół jadalny (może, jak w amerykańskim domu, składany i chowany w ścianę), kredens, szafa z książkami i parę miękkich mebli,

bądź sprężynowych, bądź wyplatanych. Pokój ten będzie służył za salon, jadalny, gabinet, pracownię. Pani domu ustawi pod oknem maszynę do szycia, czy warsztat do tkania kilimów. Tu się przyjmie sąsiadów, czy znajomych, tu zgromadzi wieczorem, by posłuchać radio-koncertów, czy pogawędzić. Drugi pokój przeznaczamy tylko na sypialnię i ubieralnię. Możnaby dać łóżko, chowane w ścianę, a w każdym razie szereg szaf w murze na bieliznę, ubranie i różne przedmioty. Pokój ten będzie znacznie mniejszy i może mieć rozsuwane drzwi do pierwszego. Sypialnia łączy się z kuchnią. Bierzemy pod uwagę, że w tak małym lokalu pani domu sama będzie kucharowała, co najwyżej z przychodnią pomocnicą. Kuchnia w tak małym gospodarstwie będzie, oczywiście, niewielka, jednak ze spiżarką wentylowaną, ze zmywakiem i szafą. Łazienkę można albo włączyć do kuchni, przykrywszy wannę ruchomym blatem stołu (takie urządzenie widzieliśmy na wystawie „Mieszkanie i jego Kultura“ ubiegłej jesieni), albo dać ją tuż obok, no i oddzielnie mały W. C. Dodajmy do całości obrazu, że w obu pokojach są wielkie okna z balkonami, w kuchni bez, centralne ogrzewanie, elektryczność, gaz, a będziemy mieli owo naskromniejsze wnętrze.

Następnie przejdźmy do mieszkania choćby 5-cio pokojowego. Tu się trochę zmieni układ. Pożądane będą 2 wejścia: do kuchni i do przedpokoju. Co do przedpokoju, to może być tak: Zamiast małego, ciemnego pokoiku, dajmy spory pokój z oknem, rodzaj hallu. Drzwi ze schodów mogą być podwójne, lub przysłonięte kotarą. Na okrycia mamy, albo szafę, albo wnękę dość głęboką, z wieszakami i lustrem, też zasłoniętą kotarą. Taki przedpokój-hall zastąpi czy to poczekalnię, czy salonik, nawet gabinecik, o ile ktoś nie pracuje w domu, a tylko czasem używa biurka do napisania listu. Uniknie się przez to tej ciemnej ubikacji, jaką jest zawsze wewnętrzny przedpokój. Małymi drzwiami przejdziemy do sionki kuchennej. Następny duży pokój nazwijmy mieszkalno-jadalnym. Mając już rodzaj saloniku i hallu, ustawiamy tu śmiało stół jadalny, kredens, parę foteli i stół do robót. Wewnątrz mieszkania, poza jadalnią, umieścimy szeroki pasaż, łączący ją z kuchnią, a jednocześnie dający dostęp do paru sypialni, łazienki, W. C. i posiadający parę szaf w murze. Pokoje sypialne będą w tym lokalu większe, gdyż muszą one być pozbawione ubieralni i gabinecikiem dla poszczególnych osób rodziny. A więc np. pokoje dzieci będą zarazem ich sypialnią i pokojem dla zabawy dla młodszych, sypialnią i pokojem do nauki dla starszych. Koło kuchni umieścimy pokój dla służącej, już niezbędnej przy większym mieszkaniu.

Na ostatku mamy apartament miejski. Może się on składać z 10-ciu i więcej pokoi. Zasadniczą różnicą z domem podmiejskim, co do planu, będzie to, że światło będziemy mieli z dwóch stron, a najwyżej z trzech, nie zaś z czterech, jak w domach, stojących oddzielnie. Następnie całe mieszkanie będzie położone na jednym piętrze, gdyż lokal miejski rozkłada się rzadko na 2 piętra, gdy dom wiejski rozkłada się na dwie, albo trzy kondygnacje. Przedewszystkiem będzie tu hall-przedpokój, gabinet, buduar, salon, jadalny, pokoje sypialne, ubieralnie, łazienki, przynajmniej po jednej na 2 sypialnie, pokoje dzieci, bony, służby, wreszcie kuchnia. W takim mieszkaniu koniecznym będzie długi korytarz wewnątrz lokalu. Jest to już typ przestarzały, albowiem rozporządzając większą sumą pieniędzy, każdy woli sobie wybudować dom

pod miastem, w ogrodzie, zupełnie izolowany; a mając mało gotówki, nikt sobie zbytkownego apartamentu nie urządzi.

Rozpatrzmy jeszcze jeden dom mieszkalny — mianowicie willę. Cóż to jest? Czem się różni od domu podmiejskiego? Przeznaczeniem willi jest służyć za mieszkanie tylko przez krótki czas, jeden sezon, dajmy na to, letni. A więc będzie to mieszkanie czasowe i to w okresie wakacyjnym. Tem samem będzie pozbawione wszelakich gabinetów, pokoi do nauki, a też spiżarni i innego balastu. Osia willi powinien być duży hall, łączący się szerokimi drzwiami, lub paroma, z tarasem, czy pergolą. Hall będzie salonem, jadalnym, gabinetem. Z boku przedpokój - szatnia i W. C., korytarzyk, kuchnia i służba. Schody na górę w hallu, albo z przedpokoju. Na piętrze parę sypialni z łazienkami i to wszystko. Wielkie okna, prawie konieczny taras-dach do kąpieli słonecznych, jaknajwięcej balkonów, jaknajwiększa prostota i lekkość budowlu — oto główne cechy. Gdzieś na uboczu garaż. Jest to typ skrajny jakiejś willi, powiedzmy, nad Bałtykiem, dom, gdzie się mieszka tylko latem. Willa, mieszkalna zimą, musi posiadać odpowiednio zbudowane ściany, kaloryfery, czy piece, gdy letni dom może się zadowolić paru kominkami na słotne i wietrzne dnie.

Willa jest już swego rodzaju zbytkiem, dostępnym dla ludzi zamożniejszych, gdyż oprócz niej trzeba jeszcze mieć dom podmiejski, czy mieszkanie w mieście.

Zygmunt Knothé.



W SPRAWIE DROŻYZNY

Drożyna jest zagadnieniem, które przedewszystkiem obchodzić musi świat kobiety. Stykamy się z niem codziennie; w nasz organizm domowy zatapia ta harpia swoje szpony, wyniszcza nasze siły gospodarcze, rujnuje najstaranniej klejone budżety, zmusza do coraz dotkliwszych ograniczeń; podobna szkodliwemu pasorzytowi, wysysa wkońcu wszystkie siły żywotne komórki-rodziny.

Przyjrzyjmyż się zbliższa temu potwornemu zjawisku.

Z łatwością zauważyć można, że drożyna posiada jakby trzy oblicza, w trojakiej występuje postaci, a więc przedewszystkiem: jako drożyna produkcji, następnie t. zw. rozpiętość cen; wreszcie, jako wzrost drożyny.

Kto chciałby podjąć istotną walkę z tem niebezpieczeństwem publicznem, musi zwrócić się odrazu przeciw wszystkim jego trzem postaciom, ciąć odrazu i jednocześnie w trzy oblicza.

Od czego zależą nadmierne koszty produkcji? Składa się na nie koszt surowca, koszt przeróbki technicznej, czyli fabrykacji, koszt robocizny i administracji, wreszcie drożyna kredytu, która sama w sobie stanowi poważne zagadnienie gospodarcze.

Rozpatrując sprawy powyższe, najczęściej wskazuje się, jako na źródło drożyny produkcji, na wysokość płac robotniczych i na ośmiogodzinny dzień pracy.

Nie tu miejsce na omawianie powyższych kwestyj. Nie pozwalają na to ramy krótkiego artykułu. Stwierdzić jednak trzeba, że poza paroma lepiej płatnymi fachami — ogół płac robotniczych stoi poniżej najskromniejszych norm utrzymania. Świat robotniczy w Polsce cierpi dziś, poprostu, nędzę. Przytoczone w jednym z artykułów „Bluszczu” dane cyfrowe, zebrane na podstawie urzędowej ankiety, a dotyczące zarobków kobiet w fabrykach, są tego twierdzenia wymownem poparciem. Natomiast koszty administracji w zakładach przemysłowych bywają często nieproporcjonalnie wielkie. Kilkunastotysięczne (miesięcznie) pensje dyrektorów, inżynierów i t. d., zwłaszcza w wielkim przemyśle górniczym i metalurgicznym, przyczyniają się w znacznym stopniu do podwyższenia kosztów produkcji.

Ceny surowca, o ile nie jest to surowiec krajowy, regulowane być muszą przez odpowiednią politykę celną i ogólną finansową Państwa. I tu społeczeństwo, jako takie, nie ma nic do zdziałania: to są sprawy ciał prawodawczych i Rządu.

W ostatnich czasach podnoszono kilkakrotnie w pismach specjalnych i w prasie codziennej kwestję technicznych urządzeń różnych warsztatów pracy.

Stoją one, zdaniem znawców, na poziomie o wiele niższym od stosowanych dziś w krajach wysoce uprzemysłowionych. Maszyny naszych fabryk są zniszczone i przestarzałe, produkują wolno i źle. Skutkiem tego wyroby nasze są nie tylko gorsze, ale i droższe, i nie mogą wytrzymać konkurencji z wyrobami przemysłu zagranicznego. Klasycznym przykładem w tym względzie jest dosyć głośna dziś sprawa współzawodnictwa między cukrowniami Wielkopolski i b. Królestwa. Wielkopolska, zaopatrzona w najnowsze urządzenia techniczne produkować może cukier znacznie taniej, niż b. zabór rosyjski. I oto zdezelowane cukrownie Kongresówki żądają, by cenę ogólną cukru podnieść do normy, odpowiadającej niedołężnej ich produkcji. Oczywiście, stałoby się to z największą krzywdą konsumenta.

Lekarstwem radykalnem na taki stan rzeczy byłoby zmodernizowanie ogólne polskiego przemysłu, polegające na zaopatrzeniu naszych zakładów przemysłowych w to wszystko, co w danej gałęzi stanowi ostatni wyraz techniki. Aliści, na inwestycje te brak w kraju kapitału. I w tym punkcie dotykamy drożyny kredytu.

Rząd obecny poraz drugi już obniża stopę procentową. Dla tych, którzy korzystać mogą z kredytów państwowych, jest to niewątpliwie wielkiem dobrodziejstwem, ale źródła kredytu państwowego są ograniczone, a kredyt prywatny, jak dotąd, niebardzo lęka się przepisów o lichwie. Wie, że jest tak pożądanym, iż każdy zapłaci chętnie 4 procent miesięcznie i tajemnicy dochowa, z wdzięcznem sercem. A 4 procent miesięcznie, to nie maksimum. Przyjęły się u nas i mają prawo obywatelstwa normy znacznie wyższe. Zresztą i tego drogiego, prywatnego kredytu daje się uczuwać brak dotkliwy.

Ma więc cała ta sprawa, niestety, w dużym stopniu charakter błędnego koła i tylko, odpowiednio użyta, znaczna pożyczka zagraniczna stanowiłaby tu mogła pewien sposób szybszego wyjścia z trudnej sytuacji; tylko bardzo wytężona praca, zapobiegliwość, rzutkość naszych przemysłowców w kierunku zdobywania nowych, pod względem doskonałości wyrobów niezbyt wymagających, rynków zbytu, pozwolą po jakimś czasie zaleczyć rany i niedomagania naszej pro-

dukcji przemysłowej. Tak zwane „badanie kosztów produkcji“, o którym dużo pisze się dziś, ma stanowić pewnego rodzaju diagnozę, na podstawie której zastosowane będą środki lecznicze.

Co do produkcji rolnej, przedstawia ona pewną analogię z produkcją fabryczną, cierpi tak samo na brak taniego, długoterminowego kredytu, nie może podejmować również niezbędnych melioracji i inwestycji, ale nadto przechodzi ona kryzys głęboki, oznaczany wyrazami „Reforma rolna“. Kryzys ten nie jest też bez wpływu na drożyznę produktów rolniczych. I tu znów stają przed nami zagadki sfinksowe i labirynty sprzecznych poglądów, z których olbrzymią wagą nie uda się może uporać jednemu pokoleniu.

Przechodzimy do t. zw. rozpiętości cen.

Tym technicznym terminem oznacza się różnicę między pierwszą ceną danego produktu, czy towaru, nakładaną nań przez wytwórcę, a tą ceną, którą musi zapłacić zań konsument.

Różnice te są u nas po wojnie kolosalne; dochodzą do 100, 200 i 300 procentów.

Przyczyną tej wielkiej „rozpiętości“ jest wyolbrzymione pośrednictwo. Bowiem produkt rolny, czy towar przemysłowy, nim od wytwórcy dotrze do konsumenta, przechodzi przez nieskończoną ilość rąk, a każda z tych rąk zarabia na pośrednictwie i każda dorzuca coś do ceny towaru. Zadaniem tego interesującego łańcucha rąk jest jaknajwyższe wyśrubowanie ceny.

Ręce te, właściwie, nic nie produkują, one tylko podają z ręki do ręki sztukę materiału, czy kilogram masła, czy centnar zboża, a zanim ten ostatni dojdzie do konsumenta w postaci chleba, cena jego pomnoży się stokrotnie.

(d. c. n.)

C. r.



PRACA SPORTOWA W HALACH GIMNASTYCZNYCH I W DOMU

Ćwiczenie 12. Ling w swoim systemie ćwiczeń, zwraca dużą uwagę na prawidłowe oddychanie w czasie wykonywania ćwiczeń. Zgodnie z zasadą tą, przy poszczególnych ćwiczeniach mówione było, przy jakich ruchach stosować należy wdech i wydech. Ponadto Ling daje specjalne ćwiczenia oddechowe, do których należy ćwicz. 12. Ling poleca stosować je po

ćwiczeniach bardziej męczących, celem uregulowania zbyt szybkiego rytmu serca.

Ćwiczenie 12 jest bardzo łatwe do wykonania. Wykonujemy je na 2 tempa; wychodząc z postawy zasadniczej (na baczność).

Na raz: Ramiona podnieść w bok, unosząc się jednocześnie na palcach. Głęboki wdech.

Na dwa: Powracamy do postawy zasadniczej, przytem ramiona i pięty winny opadać jednocześnie. Głęboki wydech — w czasie opuszczania ramion i pięt.

Ćwiczenie 13. Skłon tułowia wprzód z chwytem karku.

Ćwiczenie to jest niejako powtórzeniem ćwicz. Nr. 5 z pewną zmianą w pozycji ramion.

Postawa zasadnicza. Chwyt karku. (Ręce składamy na karku według wskazówek, podanych przy ćwicz. Nr. 7). Wykonujemy ćwiczenie to na 2 tempa.

Na raz: Skłaniamy tułów wprzód. Nogi w kolanach proste. Łopatki proste. Łokcie odciągać w tył. Głowy nie opuszczać w dół.

Na dwa: Powrót do postawy zasadniczej. Zwrócić uwagę na wskazówki, podane przy ćwicz. Nr. 5.

Ćwiczenie 14. Ćwiczenie to, z punktu widzenia wpływu na rozwój mięśni brzusznych, jest jednym z najbardziej skutecznych. — Wykonywane starannie i poprawnie, jest jednako niezbędne dla atletów, sportowców, jak też dla osób tęgich i szczupłych, dla młodości, a nawet dzieci płci obojga.

Ćwiczenie to stanowi zarazem bezcenną wartość dla pań, pragnących utrzymać ładne linie swego ciała, czemu przeszkadza najczęściej zbyt duży brzuch. Ling, na podstawie doświadczenia, twierdzi, że już w przeciągu 15 dni, przerabiając codziennie ćwiczenie Nr. 14, uzyskuje się skutki widoczne.

Bez przesady można powiedzieć, że ćwiczenie Nr. 14 jest jednym z najtrudniejszych, ale zarazem i najsukcesowniejzych ćwiczeń. Powinno być ono wykonywane z całą starannością w warunkach przepisanych, w przeciwnym bowiem razie straci olbrzymią część swej wartości.

Postawa zasadnicza: Kładziemy się na podłodze nawznak, zachowując w tej pozycji postawę „na baczność“. Chwytny kark, jak w ćwicz. 5 i 13. Głowa również leży na ziemi.

Na raz: Powoli podnosimy obie nogi od bioder w pion. Wytrzymujemy kilka sekund w tej postawie. Nogi w kolanach cały czas proste.

Na dwa: Powoli opuszczamy nogi proste w kolanach na ziemię. Zwracać należy uwagę, aby nogi nie spadały na ziemię ciężko i szybko.

Powtarzać ćwiczenie to kilka razy.

Ćwiczenie powyższe wykonywać można również z rękami, wyciągniętymi na ziemi w bok. W czasie wykonywania ćwiczenia nie należy odrywać rąk od ziemi.

Kiedy doszliśmy już do pewnej wprawy w wykonywaniu tego ćwiczenia, kiedy wzmocniliśmy mięśnie brzucha, przystąpić wówczas możemy do trzeciego, trudniejszego sposobu wykonania, a mianowicie:

Leżąc nawznak na ziemi, jak gdyby w postawie „na baczność“, chwytamy kark rękami. Powoli podnosimy nogi proste w kolanach do góry. Po dojściu nóg do pionu w dalszym ciągu skłaniamy je ku głowie w ten sposób, że unosimy z podłogi nawet tułów, podczas gdy na ziemi spoczywa tylko głowa, kark i łopatki. Przy treningu dojdziemy do tego, że przerzucenymi nad głową nogami (zawsze proste w kolanach) dotkniemy podłogi palcami stóp.

W chwili, gdy przerzuciliśmy nogi [tak] daleko, jak tylko mogliśmy, rozpoczynamy powoli wracać do postawy zasadniczej. Przytem—nogi powinny być prowadzone bardzo powoli, zawsze złączone i proste w kolanach i złożone na ziemi lekko.

Jeszcze jeden sposób wykonania tego ćwiczenia podam tutaj: Leżąc w postawie zasadniczej z rękami na karku, unieść obie nogi powoli na wysokość 10—20 cm. od ziemi i wytrzymać w tej pozycji kilka sekund. Kilkakrotnie podnosić i opuszczać nogi złączone i proste w kolanach do wskazanej wysokości 20 cm., przytem przy opuszczaniu nie dotykać stopami podłogi. Ćwiczyć powoli, starannie, nie odrywając głowy, ani rąk od podłogi.

Przy zarzucaniu nóg nad tułowiem i głową — ćwiczyć ostrożnie i stopniowo osiągać granicę masykalną.

Ćwiczenie 15. Położyć się na ziemi nawznak w postawie „na baczność”. Ręce złożyć na karku pod głową. Na raz: Podnieść z ziemi tułów do postawy siedzącej. Na dwa: Opaść na ziemię. Nogi winny pozostać nieruchome przy wykonywaniu tego ćwiczenia — nie wolno, ani zginać ich w kolanach, ani unosić nad ziemią.

Podnosić i opuszczać tułów należy bardzo powoli. Uważać, ażeby głowa zawsze tworzyła z tułowiem jedną linję, nie przyspieszając, ani nie opóźniając podnoszenia, czy opadania tułowia. Uważać, aby łokcie zarzuconych na kark rąk, nie skłaniały się do przodu.

Celem łatwiejszego wykonania tego ćwiczenia dla unieruchomienia nóg, można, leżąc na ziemi, zaczepić stopy o jakiś mebel, zahaczając się np. palcami nóg o spód szafy. Należy wszakże pamiętać, że po osiągnięciu pewnej wprawy, należy wykonywać to ćwiczenie bez zaczepiania stóp; jest ono wówczas trudniejsze, lecz zarazem posiada więcej wartości.

Pamiętać, że przy wykonywaniu tego ćwiczenia plecy winny być zawsze proste.

Po osiągnięciu wprawy przejść możemy do trudniejszego sposobu wykonania tego ćwiczenia, a mianowicie: z tej samej pozycji zasadniczej podnosimy tułów do pionu, poczem w dalszym ciągu skłaniamy go wprzód, jaknajniżej. Nogi proste w kolanach. Ramiona cofnięte wtył, aby nie garbić pleców. Ćwiczenie to możemy wykonywać z rękami, wyciągniętymi w pion, i wówczas staramy się tak nisko tułów skłonić, aby rękami dotknąć palców stóp, przytem ręce winny tworzyć jedną linję z tułowiem.

Ćwiczenie to jest męczące i dość trudne; tem niemniej wszakże posiada olbrzymią wartość dla mięśni przedewszystkiem brzucha.

Ćwiczenie wykonywać możemy jeszcze i w ten sposób, że przy opuszczaniu tułowia zatrzymujemy go tuż przy ziemi, nie opierając się na niej. Poczem znowu podnosimy tułów w pion, i dalej wprzód i t. d.

Ćwiczenie 16. Postawa zasadnicza: Kładziemy się lewym bokiem na ziemi. Ciało wyprostowane. Lewą rękę opieramy dłonią na podłodze i unosimy na niej ciało, aż do chwili, w której lewa ręka będzie wyprostowana. Prawą rękę składamy na karku, odciągając łokieć do tyłu. Obie nogi złączone i proste w kolanach. Ciało w stosunku do podłogi tworzy kąt ostry.

Na raz: Unosimy prawą nogę, prostą w kolanie, w górę.

Na dwa: Opuszczamy prawą nogę powoli wdół.

Następnie kładziemy się na prawym boku, opieramy się o ziemię na prawej ręce i wykonywamy ćwiczenie lewą nogą. Przerabiamy je kilkakrotnie.

Wczacie wykonywania ćwiczenia ciało winno być nieruchome. — Noga, którą podnosimy dogóry, winna poruszać się w planie poziomym, w przeciwnym bowiem razie, jeśli skierujemy nogę zabardzo wtył, albo wprzód — stracimy równowagę.

Wprawa wkrótce przekona nas, że ćwiczenie to jest znacznie mniej trudne, niż napozór wydawać się może.

Ćwiczenie 17. Zwroty tułowia w prawo i w lewo. — W systemie Linga każde ćwiczenie posiada swą wartość właściwą i odrębną, pod warunkiem wszakże, że wykonane będzie prawidłowe. Ćwiczenie 17 wydaje się banalnie łatwym, bo rzeczywiście, cóż może być łatwiejszego nad zwroty tułowia w lewo i w prawo wtedy, gdy przy rozkroku mocno stojąc na nogach, nie możemy nawet stracić równowagi. Jednak ćwiczenie to okaże się trudniejszym, jeśli ćwiczący, stosownie do wymagań Linga, przy zwrotach tułowia zachować zechce nieruchomą postawę nóg i bioder.

Postawa zasadnicza; stanąć w małym rozkroku (stopy rozstawione na 20 cm.). Palce nóg zwrócone na zewnątrz, ciało proste, ramiona wyciągnięte w pion, dłonie otwarte, palce u rąk złączone i wyciągnięte. Głowa prosto.

Na raz: Zwrot tułowia w prawo od pasa. Nogi i biodra nieruchome.

Na dwa: Powrót do postawy zasadniczej.

Na trzy: Zwrot tułowia w lewo, przy nieruchomych nogach i biodrach.

Na cztery: Powrót do postawy zasadniczej.

Przy wykonywaniu tego ćwiczenia stosuje się kilka sposobów:

1) Wykonywamy bez przerwy kilka po sobie następujących zwrotów tułowia tylko w prawo. Poczem — krótka pauza w postawie zasadniczej i znowu wykonywamy odpowiednią serję zwrotów w lewo.

2) Wykonywamy równieź serjami zwroty tułowia najpierw w lewo, potem w prawo, lecz bez przerwy.

Dla osób bardziej wytrenowanych.

Ćwiczenie 18. Przysiady.

Ćwiczenie to jest warjantem jednego z ćwiczeń, podanych przez nas na początku. Cel jego jest również ten sam: rozwinąć i wzmocnić mięśnie nóg.

Postawa zasadnicza: Ciało proste, głowa dogóry. Stopy lekko rozstawione, palce nóg nazewnątrz. Ręce na karku, łokcie odsunięte wtył.

Na raz: Wspięcie na palcach.

Na dwa: Przysiad. Tułów prosty.

Na trzy: Powstać na palce.

Na cztery: Opuścić pięty na ziemię.

(d. n.)

K. M.

Olbrzymi kłopot zdejmują matce z głowy
książka p. t.

„KUCHNIA DZIECIĘCA”

zawierająca naukę racjonalnego odżywiania
dziecka i przepisy potraw.

Cena 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po nadstaniu należności

Tow. Wyd. „Bluszcz” Warszawa, Plac Zamkowy 99.
Konto P. K. O. Warszawa Nr 13.555.

BĄDŹCIE PIĘKNE I ZDROWE!...

(Z POWODU KSIĄŻKI DR. JULJI ŚWITALSKIEJ „PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE W ŻYCIU KOBIETY“ BLUSZCZ 1926 R.

W świecie starożytnym „tajemnica odmładzania leżała w ręku najstarszej kapłanki świątyni Wenery“, pisze autorka świeżo wydanej książki p. t. „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“. Bo młodość jedynie ma prawo do miłosnych podbojów, a ludzie, nie mający innych ideałów, prócz kultu własnej osoby, niechętnie ustępują z pola — walczą o swe prawo do szczęścia wszelkimi sposobami, uciekają się do sztuki, by podtrzymać wędzące wdzięki, płacą sumy za każdy reklamowany środek odmładzający, z trwogą udają się pod opiekę różnych salonów piękności i w rezultacie osiągają nader mizerne wyniki.

W przeciwieństwie do kapłanki starożytnej, udra-
powanej w toę tajemniczości, na przekór średnio-
wiecznemu udręczaniu „niegodnej powłoki ducha —
ciała ludzkiego“, oraz spekulacji, sięgającej prawie-
ków i naszym nie obcej czasom, współczesna lekar-
ka, kapłanka piękności, ma uśmiech dobry i promien-
ny. Nie chce, by zdrowie i piękno stały się przywile-
jem sfer wybranych, przeciwnie, pragnie by jej słowa
dotarły do najszerzych sfer kobiecych, jak przyjazne
napomnienie i siostrzana rada. Bądź miła oku, wdzięcz-
na, kochana, ładna. Wiedz, że kamieniem węgiel-
nym piękności i szczęścia jest zdrowie fizyczne i du-
chowe. Do modnej obecnie smukłości kształtów dojdź
nie drogą samoudręczenia, głodzenia się, ściskania nie
higienicznymi pasami. Da ci ją indywidualnie prze-
pisana przez lekarza odpowiednia dieta, sport, taniec,
masaż, gimnastyka, ruch, woda, słońce. To są sprzy-
mierzeńcy twoi w dziele piękna. Nie słuchaj łatwo-
wiernie rad byle znachora. Należy dać młode-
mu ciału warunki normalnego rozwoju. Grać w ten-
nisa, tańczyć, wiosłować, pływać, jeździć konno, choćby tylko od-
bywać piesze wycieczki i spacer...

Należy umieć zachować pogodę ducha. Lecz
szczęścia nie lekceważyć, uważając je za wieczne.
Dbać o siebie. Kobieta chętnie słucha życzliwych słów,
więc książka dr. Świtalskiej ma powodzenie zapewnio-
ne. Nie obawia się dr. Świtalska dotknąć ważnej kwestji
zdrowia i urody kobiecej, w kilku rozdziałach swej
książki, tonem poważnej, dobrej siostrzyczki, poucza
czytelniczkę o jej budowie, organach płciowych, oraz
ich higienie. Daje rady, ostrzega, wskazuje. Omawia
kwestję z życiowego, tak fizycznego, jak psychologicz-
nego punktu widzenia. I tyle jest bezpretensjonal-
ności prostoty, dobrego smaku, a zarazem zrozu-
mienia stanu duchowego innej kobiety w różnych fa-
zach jej życia, że nawet drażliwe napozór tematy nie
stanowią rozdziałów niedyskretnych. Wytwarza się
między autorką, a czytelniczką nastrój przyjazny. I po
takiej pogawędce napomnienie: Bądź łagodna i uśmiech-
nięta, gdyż „nic tak nie wpływa na wygląd zewnętrzny,
jak harmonja życia wewnętrznego człowieka. Ze wszyst-
kich zalet i cnót, jakie kobieta posiada, najistotniej-
szymi są dobroć i pogoda ducha“. To też nie ulega
wątpliwości, że „Piękność i zdrowie“ stanie się vade
mecum osobistej estetyki każdej niezepsutej kobiety.
A nowoczesna kapłanka piękności uśmiechnie się ślicz-
nie do swych adeptek, i powie:

— Nawet starość nie jest straszna, moje złote.
Trzeba tylko umieć „pięknie i estetycznie się zestarzeć“.

Regina Zienkiewiczowa.

LUTY W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

Panie ze wsi, które nie wyjechały na karnawał
do miasta, mają masę roboty w inspektach i cieplarni,
roboty niesłychanie miłej i wdzięcznej. Nic to, że
z pojęciem o cieplarni ściśle jest związane pojęcie
o umiejętnym ogrodniku, — pielęgnowanie roślin, roz-
mnażanie ich, śledzenie za ich rozwojem, — zimą szcze-
gólniej, — kiedy nie mamy kwiatów, jarzyn, ani owo-
ców w ogrodzie, — jest tak ogromną przyjemnością, że
nawet te panie, które się specjalnie ogrodnictwu nie
oddają, kursów ogrodniczych nie ukończyły, powinny
dziennie godzin parę temu zajęciu poświęcić. Oprócz
cieplarni i inspektów, w ogrodach należy roztoczyć
opiekę nad młodemi drzewkami owocowymi, którym
zające i myszy największe szkody w lutym właśnie
robią.

Najlepiej drzewa te od dołu obwiązywać gałąz-
kami choiny; tam, gdzie choiny dostać trudno, można
je smarować fasolą, rozgotowaną na papkę — fasoli
myszy nie znoszą, — od zające to jednak nie chroni.

Jarzyny i włoszczyznę w kopcach i piwnicach
co tydzień przebierać należy, gdyż już masowo psuć
się zaczynają. Szczególniejszem staraniem otoczyć naj-
piękniejsze egzemplarze, przeznaczone na wysadki —
nasienniki. W konserwach octowych: grzybkach, pi-
klach, marynatach owocowych, jeśli ocet zmętniał
i zaczyna się pojawiać pleśń, usunąć tę pleśń i zmiękle,
dotknięte rozkładem części marynaty, ocet zlać, ma-
rynaty przełożyć do czystych, suchych słoików i zalać je
świeżym, niezbyt mocnym, przygotowanym i ostudzo-
nym octem. Zmniejszone już poważnie zapasy konfi-
tur należy dokompletować, smażyć zórawiny, już te-
raz znacznie słodsze, niż jesienią, — szczególnie syrop
i galareta są z nich smaczne, — cytryny i pomarańcze.
Jeżeli nie robimy konfitur z pomarańcz, powinniśmy
choćby zrobić większy zapas smażonej skórki poma-
rańczowej, do ciast i kompotów niczem niezastąpio-
nej. Co się tyczy skórek cytrynowych, to lepiej się
przechowują nie smażone, a tylko otarte na ostrej
tarce. Wiórki takie układa się w słoiki, przesypując
grubymi rzędami cukru tłuczonego, lub drobnego
kryształu. Zawiazane szczelnie pęcherzem, lub dobrym
pergaminem, konserwują się rok cały i są wybornym
środkiem aromatyzującym do ciast, sosów, kompotów
i t. p. Wyborne w smaku i o cudownym aromacie
mandarynki, niestety, nie dają się zakonserwować,
ani w konfiturze, ani w kompotach, — a raczej zakon-
serwować się wprawdzie dają, ale konserwy te są mało-
wartościowe i mało świeży owoc przypominają. Li tylko
likier mandarynkowy jest wyborny i, przyrządzony
w domu przewyższa smakiem kupne francuskie
i włoskie likiery z tego owocu.

Podam tu najprostszy sposób przyrządzenia tego
smakołyku. Gąsior o szerokiej szyjce napełnić do
trzech ćwierci drobnymi mandarynkami, nasypać cu-
kru, — wciąż potrząsając gąsiorem, aby wszędzie
między owocem był cukier, — mandarynki powinny
być cukrem pokryte. Włożyć na trzydzieści małych
mandarynek łyżeczkę soli cytrynowej (kwasku), i na-
lać gąsior spirytusem, zakorkować, lub, co lepiej, za-
wiązać mokrym pęcherzem, postawić na miesiąc
w cieple, (na słonecznym oknie, lub w kuchni blisko
blachy), — co parę dni potrząsać gąsiorem; gdy się
cukier zupełnie rozpuści, przenieść do spiżarni i za-

pościć o nim rok cały. Późem zlać do butelek i zacząć używać.

W lutym na całych kresach wschodnich, gdzie wyrabiają najlepsze wędliny, odbywa się ostatni ubój wieprzy i robienie najlepszych wędln. Nie jest wcale przesadą, lecz aksjomatem, stwierdzonym przez całe pokolenie dobrych gospodyń, że wędliny, przed i po wędzeniu obsuszane na wietrze marcowym, są najtrwalsze, a co zatem idzie, i najsmaczniejsze. Cała była Kongresówka ukarmia kolejno wieprze, kolejno, przez rok cały, co miesiąc, lub dwa, je bije i część mięsa przerabia na wędliny, prędko wyrabiane i równie prędko się psujące. W wielu, dużych nawet, gospodarstwach wiejskich tak dalece nie znają metod i sposobów solenia, wędzenia i przyrządzania wyrobów z wieprzowiny, że sprowadzają z miasta masarza, który całą tę robotę wykonywa. Nie mam tu zamiaru zwalczać miejscowych zwyczajów, mających zapewne jakieś poważne podstawy, — na przykład całoroczne równomierne zużycie odpadków kuchennych i mleczarnianych przy ukarmianiu wieprzy. Chciałabym tylko przypomnieć, że sztuki, bite latem, zwykle dają fatalne wędliny, gdyż mięso wieprzowe nie daje się, nawet na lodowni, dobrze osolić w upały, nabiera wstrętnego zapachu, psuje się przy kości i t. p. Otóż chociaż na te parę najgorętszych miesięcy letnich należy zrobić teraz zapas szynki, polędwicy, kiełbasy, wędzonej słoniny i topionego smalcu w pęcherzach.

Wszelkie maślanki, serwatki, pomyjki i obierzyny można latem korzystnie zużyć na wyhodowanie większej ilości i silniejszych prosiąt, które wciągu miesięcy zimowych dadzą nam wyborowy materiał na karmniki. A ręce pracownicy, zajęte ukarmianiem trzody zimą, oswobodzone latem od tej znużającej pracy, znajdą najrozsądniejsze, korzystniejsze zastosowanie w innych gałęziach gospodarstwa.

Szczególniejszą uwagę zwracać należy na utrzymanie drobiu, przeznaczonego na hodowlę. Od obfitości i posiłnego odżywiania, czystych i ciepłych kur-ników, zależy jego nieśność i wczesne rozpoczęcie niesienia się. Im wcześniej wyjdą pisklęta, tem są silniejsze, łatwiejsze do hodowania. Szczególniej stosuje się to do gęsi, które powinny się wylęgnać w połowie kwietnia, aby już być duże i silne na lipiec, kiedy je różne, gęsiom właściwe, cierpienia trapić zwykły. Indyki też powinny wczesnie się wylęgnać, aby w czasie największych upałów przejść krytyczny dla nich okres koralenia. Nakoniec wiemy, że najcenniejsze na rynku i najsmaczniejsze są kurczęta, wylęgle w marcu, tak zwane „marcaki“, a te możemy mieć tylko, jeśli kokoszki w lutym się wyniosą i siędą na jajach.

Widzę, że tak dużo czasu i miejsca poświęciłam pracom pań, mieszkających na wsi, że już niewiele będę miała do powiedzenia paniom z miast. Zresztą te ostatnie tak są całe oddane zabawom w domu i poza domem, że na żadne zajęcia gospodarcze, z zabawą ściśle nie związane, czasu nie mają. Ale tych karnawałowych zajęć jest dużo. Chciałabym więc tylko przypomnieć, że o udanym przyjęciu stanowi nie wykwił potraw podanych, zbytek w zastawie stołu, obfitość wyszukanych napojów, lecz serdeczność, uprzejmość gospodarstwa i stosowanie się do zasady: „według stawu grobla“. Kawior i łosoś, bazyliant w piórach i lody ze świeżych ananasów, kruszon z szampana i likiery francuskie nie mogą smakować gościom, jeżeli wiadomo, że są podane za pożyczone pieniądze, albo, że gospodarze, po wydaniu takiej

uczty, Sardanapala, będą miesiąc żywić się cienką zupką i kluskami. Natomiast przy zwykłych pączkach i tartynkach, byle jedne i drugie były rzeczywiście doskonałe, można się zabawić wybornie.

I jeszcze jedno chcę tym czytelniczkom przypomnieć, które z musu, lub z poczucia obowiązku, urządzają dobroczynne bufety na zabawach. Ideałem bufetu jest taki, w którym, na godzinę przed ukończeniem zabawy, nie pozostanie ani jednej tartynki, ani jednego kieliszka wódki, ani szklanki limonjady. Gdyż tylko taki bufet daje dochód. Wszelkie bufety przeciążone zbyt kłopotliwymi daniami, dekoracjami kwiatowymi i t. p. są kosztowne, przez to obfitują w duże ilości, nie dających się korzystnie spięnić resztek i przeważnie dają deficyt, lub dochód minimalny.

Pani Elżbieta.



KĄCIK GOSPODARSKI JAK NALEŻY PRAĆ RADIONEM

I.

Mało jest środków do prania, które nadają się dla wszystkich tkanin. Natomiast nowy idealny środek samopiorący Radion nadaje się nie tylko do prania białej bielizny, ale pierze doskonale białą kolorową, wełnianą, bawełnianą, jedwabie, crêpe de chine i t. p.

Ponieważ Radion zabija bakterje i doskonale dezynfekuje, można go specjalnie polecić do prania bielizny chorych i bielizny dziecięcej.

Niezmiernie ważnem jest, aby Radion użyty był odpowiednio według przepisu i w zależności od rodzaju bielizny. Poniżej pozwalamy sobie podać kilka praktycznych rad dla wszystkich przyjaciół Radionu w całym kraju.

PRANIE BIELIZNY BIAŁEJ

Bieliznę należy przed praniem namoczyć — najlepiej na noc. Do szczególnie twardej wody trzeba dodać 2—3 łyżki Radionu na balję.

Po namoczeniu przygotowuje się rozczyń — rozpuszczając jedno deka (niepełna łyżka stołowa) na 1 litr zimnej wody. Aby stosunek ten był należycie zachowany, poleca się zmierzyć zawartość kotła, w którym ma być gotowana bielizna.

Sypiania Radionu bez miary trzeba unikać.

Nie wolno nigdy używać do sporządzania rozczyń wody ciepłej, lub gorącej, gdyż wtedy działanie Radionu osłabia się.

Również niepożądanem jest wsypywanie do kotła całej paczki naraz.

Radion trzeba sypać do wody potrosze i dobrze mieszać rozczyń. Jeżeli tworzą się grudki, to należy je rozetrzeć.

Do rozczyń Radionu nie trzeba dodawać ani mydła, ani innych środków — byłoby to niepotrzebną stratą pieniędzy, bo Radion zawiera 50% doskonałego mydła Jelen-Schicht i nadaje bieliznie śnieżną białą bez pomocy innych środków.

Dalszy ciąg nastąpi. Wyciąć i zachować.

Przepisy Gospodarskie



CIASTO STRUDLOWE I CIASTO FRANCUSKIE (LISTKOWE)

Na zapytanie pani J. Sukiennikowej z Rzeszowa, jak najlepiej piec te dwa rodzaje ciasta, nie ma możliwości odpowiedzieć w listach od redakcji, odpowiedzi te zabrałyby zbyt wiele miejsca, — o ile ktoś nie zna zupełnie sposobu wypieku tych dwóch rodzajów ciasta, musi mieć przepis dokładny i wyczerpujący. Więc ciasto strudlowe robi się w sposób następujący: zagnieść wolne ciasto z jednego jajka, pół łyżeczki soli, letniej wody i takiej ilości mąki, aby ciasto się dało wałkować, (masła kłaść nie wolno), wybijać to ciasto długo i mocno o stolnicę, poczem przykryć gorącą miską, aby się rozgrzało. Ciasto rozwałkować, położyć na stół obrus, przyprószyć mąką, na to położyć ciasto i wyciągać ostrożnie rękami, (najlepiej to robić we dwie osoby), aż się zrobi cienkie, jak papier listowy. Dać mu przeschnąć przez trzy kwadranse, skropić obficie masłem, ułożyć farsz z jabłek, kapusty, szynki, czy jaki chcemy inny, zwinąć ciasto w rolkę. Płaski, szeroki rondel wysmarować masłem, ułożyć weń ciasto, zwijając je w ślimak, skropić powierzchnię masłem i piec w bardzo gorącym piecu godzinę. Można też upiec taki strudel na blasze, posmarowanej masłem, nie zwijając go wcale w ślimak, tylko nadając mu kształt kulebiaki, wtedy należy sam wierzch posmarować żółtkiem. — Ciasto francuskie robi się tak: przesiać pół kilo mąki, wziąć jedno jajko, łyżeczkę soli, szklanek wody z dwiema łyżkami octu, zagnieść na wolne ciasto, wyrobić, aż od rąk odstanie. Przykryć talerzem, wynieść na chłód, aby nieco stwardniało. Pół kilo masła tłustego wymyć, obsuszyć doskonale serwetą, aby nie miało nic wilgoci w sobie, rozpląszyć w prawidłowy kwadrat. Ciasto rozwałkować na grubość palca, położyć masło w środek, założyć brzegi, jak w kopercie, aby masło było zupełnie przykryte, złożyć jeszcze tę kopertę wpół, stroną gładką, niezalozoną dogóry. Wałkować w jedną stronę ostrożnie, aby nigdzie masła nie wycisnąć. Rozwałkować do grubości palca, złożyć wetroje i wynieść na godzinę na chłód. To wałkowanie, składanie wetroje i zastudzenie powtórzyć trzy razy. Ciasto francuskie należy robić w pokoju chłodnym, latem w piwnicy, lub lodowni. Gdy już ciasto gotowe, to jest pod wałkiem, przy przeciąganiu, formują się lekkie bańki, robić z niego paszteciki, vol-au-vent, lub formy do pasztetu. Przed pieczeniem smarować żółtkiem tylko wierzch ciasta; najmniejsza ilość jajka, spływająca po brzegach, przeszkadza wyrastaniu ciasta. Piec prędko, 10—15 minut najwyżej, w bardzo gorącym piecu, — od temperatury pieca zależy dobroć listkowego ciasta.

PASZTET Z INDYCZKI

Doskonały sposób zużytkowania indyczki zbyt małej, lub zbyt chudej na piecyste:

Indyczkę, doskonale oczyszczoną, opaloną i wymoczoną przez godzin parę, ułożyć w rondlu na plasterkach świeżej, niesolonej słoniny, (indyczka sama musi być zewnątrz i wewnątrz posolona). Zrumienić dobrze, dodać wszystkie podroby, za wyjątkiem wątróbki, która dalej moknąć powinna, dołożyć drobno pokrajanych jarzynek, (najwięcej pietruszki) i dusić, aż mięso zupełnie zmięknie i od kości odstawać zacznie. Zmleć na maszynie osiemdziesiąt deka cielęciny i tyleż świeżej słoniny, osolić, popieprzyć lekko, wysypać tartego kwiatu muszkatelowego, wbić trzy jaja całe, wyrobić doskonale. W glinianej formie do bab upiec formę ze zwykłego, kruchego pasztetowego ciasta, nasypując ją surowym grochem, aby brzegi nie opadły. Nie przepiekać ciasta, ani go nadto nie rumienić. Groch wysypać, ciasto nieco ostudzić, nie wyjmując go z glinianej formy. Układać rzędami farsz i indyczkę, podroby i zrumienioną oddzielnie i pokrajaną w talarki wątróbkę...

Ostatni rząd powinien być z farszu. Wstawić na godzinę do pieca; gdyby się pasztet nadto z wierzchu rumienił, przykryć go mokrą bibułą. Krócej pasztetu piec nie można, gdyż farsz pozostałby surowy. Przed wydaniem ostrożnie wyrzucić, postawić jak doniczkę na półmisku. Na tłuszczu i smaku, pozostałych w rondlu po duszeniu indyczki, zrobić rumiany sos cytrynowy, lub kaparowy, i podać go oddzielnie w sosierce. Można też włoszczyznę, z którą się dusiła indyczka, pokrajać zgrabnie i ułożyć między farszem.

KULEBIAK Z RYBĄ

Kulebiak rosyjski tem się różni od pieroga, że się robi rzadko z ciasta drożdżowego, przeważnie zaś z francuskiego, lub półfrancuskiego, robi nie płaski, jak pieróg, lecz wysoki na piętnaście centymetrów i tyleż szeroki w dole, aby w zgrabne kawałki krajać się dał, na koniec zwykły pieróg rosyjski nadziewa się przeważnie jakimś jednolitem nadzieniem, kulebiak zaś mą parę, lub więcej rodzajów farszu, ułożonych jeden nad drugim.

Najsmaczniejsze kulebiaki robi się z ryby, przyczem w Rosji nigdy tej ryby nie smaży, ani nie gotują, lecz używają tylko surowej, starannie zdjętej z ości większej i oczyszczonej z mniejszych, i osolo-

Już wyszła z druku

oczekiwana przez tysiące pań książka

Dr. med. Julji Świtalskiej p. t.

"PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE W ŻYCIU KOBIETY" (Higijena kosmetyczna)

Nieocenionej wartości zbiór najważniejszych wiadomości z zakresu higieny kobiecej, nauka masażu twarzy, biustu etc.

Cena egz. 5 zł.

Wysyłka tylko po nadesłaniu należności.

Tow. Wydawnicze „Bluszcz”, Warszawa, Krak. Przedm. 99. Konto P. K. O. Warszawa Nr. 13.555.

nej na dwie godziny przed włożeniem do ciasta. Na farsz ugotować szklankę ryżu, dokładając doń łyżkę masła, aby był sypki. Ryż nie powinien być przegotowany, gdyż dojdzie jeszcze w cieście. Kilowego sandacza oczyścić, zdjąć z ości, odjąć ogon i głowę, (którą wraz z ośmiema można użyć na smak do zabielenia zupy z kluseczkami). Przygotować zwykłe półfrancuskie, drożdżowe ciasto z osiemdziesięciu deka mąki i czterdziestu deka tłustego masła. Po trzykrotnym wałkowaniu wynieść na godzinę na chłód. Ugotować cztery jaja na twardo, oczyścić i posiekać niezbyt drobno. Jeśli można dostać, przygotować dobrą garść zielonego szczypiorku cebuli, (nie szczypiorku, gdyż ten ma zapach czosnku, który nie wszyscy znoszą,) lub też zielonego koperku. Ciasto rozwałkować na pół palca w bardzo wydłużony czworokąt. Na środku ułożyć połowę wystudzonego ryżu, posypać połową jaj, szczypiorem, na to ułożyć rybę, skórką do góry, nie kładąc jej, a tylko uważając, aby cieńsze części od ogona się spotykały i zachodziły nawet jedna obok drugiej, aby kulebiak miał ładny kształt. Na rybę położyć kilka kawałeczków masła, ryż, jaja, zieleń. Ciasto z obu stron ostrożnie podnieść i u góry ładnie połączyć, formując jakby rodzaj grzebyka kurzego. Posmarować żółtkiem i natychmiast wstawić w gorący piec. Gdy się ładnie podniesie, zrumieni i łatwo daje usunąć z blachy, ma dosyć.

Ułożyć na długim półmisku od ryb, pokrajając ostrym bardzo nożem, aby nie pokruszyć ciasta. Do tego podaje się kulki z surowego, śmietankowego masła. W Rosji podawano oprócz masła, świeży kawior, co u nas byłoby, oczywiście, karygodnym zbytkiem.

RYŻ Z SUSZONEMI BRZOSKWINIAMI

Suszone brzoskwinie, (po dwie połówki na osobę) namoczyć na noc w zimnej wodzie. Na dziesięć takich połówek wziąć szklankę cukru i dwie szklanki wody, w której się moczyły brzoskwinie, zagotować, włożyć rozmoczone owoce i gotować na wolnym ogniu, aż napęcznieją i zmiękną tak, jak świeże owoce. Szklankę ryżu ugotować na sypko z łyżką masła, ocukrzyć, dodać kilka utłuczonych gorzkich migdałów, lub dwie kropki olejku migdałowego. Ułożyć w salaterce rząd ryżu, rząd brzoskwiń, rząd ryżu, na wierzchu najład-

niejsze brzoskwinie. Trzymać przykryte w cieple, aż zrobimy sos, na który wziąć ulep z brzoskwiń, kieliszek abrikotiny, lub araku i łyżeczkę kartoflanej mąki. Zagotować raz, podać w sosjerce do leguminy, równie smacznej na gorąco, jak i na zimno. *Pani Elżbieta.*

DOBRE RADY

Chcąc, żeby benzyna, użyta do czyszczenia, nie zaciekała, trzeba pod zbrudzone miejsce podłożyć arkusz bibuły, złożony wetroje. Drugi, tak samo złożony, arkusz, kładzie się nawierzchnię, zwilża go się lekko i przyciska zimnym żelazkiem. Plama znika, a benzyna wsiąka w bibułę, nie zostawiając żadnych śladów.

* * *

Złote i srebrne koronki zaszyć w czyste płótno, wygotować w litrze wody z dużą łyżką mydła Lux — następnie dobrze wypłókać w kilku zimnych wodach. Do wysuszenia rozpiąć na poduszce — czczniałe miejsca wycierać ciepłym spirytusem.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2.50, poduszka — serwetka — zł. 1.50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Przeszło 100 praktycznych przepisów przygotowania niekosztownych, a smacznych potraw odpowiednich do podania na śniadania i kolacje i dopełnienia menu obiadowego

p. t.

„PRZYSTAWKI GORĄCE“

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99.
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

67 praktycznych przepisów przygotowania niekosztownych, a smacznych zimnych potraw i tartynek

p. t.

„ZIMNE PRZEKĄSKI“

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99.
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: WANDA PEŁCZYŃSKA (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99. tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.